Nr. 26. Lwów. — Niedziela dnia 1. Lutego. **Rok 1885.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena Prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:		Na prowincji z przesyłką pocztową:	
Miesięcznie	1 złr. 50 ct.	Miesięcznie	2 złr.
Kwartalnie	4 „ 50 „	Kwartalnie	6 „
Półrocznie	9 „ — „	Półrocznie	12 „
Rocznie	18 „ — „	Rocznie	24 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 centów.

Numer kosztuje 10 centów.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują:
WE LWOWIE: Administracja *Przeglądu* ul. Jagiellońska l. 3.
W KRAKOWIE: Filja Redakcji i Administracji *Przeglądu*, ul. Senacka L. 9., jakoteż Księgarnia Krzyżanowskiego w Rynku.
W WIEDNIU. *Prenumeratę*: Zeitungsbureau Goldschmiedt (I. Wollzeile Nr. 6). — *Ogłoszenia*: G. L. Daube et Comp. Singerstrasse 11. — M. Dukes, Schulerstrasse 1—3. — Haasenstein et Vogler, Wallfischgasse 10. — Moritz Stern, Wollzeile 22. — Alois Herndl, Schulerstrasse 14. — Rudolf Mosse, Seilerstädte 2.
OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą **10** centów od wiersza petitowego za pierwszy raz, a **5** centów za każdy raz następny.
NADESŁANE w cenie **30** centów od wiersza.
Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: D. Starozapust. Jutro: N. P. Marji Gromnicz. | Wschód słońca g. 7 m. 37, Zachód „ g. 4 m. 52 | Długość dnia g. 9 m. 15, Przybyło „ o 4 minuty

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Adres Redakcji: — Gmach teatralny Nr. 7. I. piętro.
Adres Administracji: — Ulica Jagiellońska L. 3.

Przegląd polityczny.

W *Czasie* czytamy: „Wobec wieści dziennikarskich o zamierzonem usunięciu się hr. Clam-Martinitza z życia parlamentarnego, dowiadujemy się z dobrego źródła, że znakomity ten przewódzca jest istotnie od pewnego czasu cierpiącym, mianowicie na nieznośne newralgie. Stan ten zdrowia hrabiego mógłby nakazać mu kilkomiesięczny zupełny spoczynek; dotąd jednak nic nie zostało w tej mierze postanowionem, i prawdopodobnie zechce on pozostać na swem stanowisku do końca sesji.“

Opozycja w Sejmie węgierskim wywołała na przedwczorajszem posiedzeniu nowy skandal. Członek skrajnej lewicy Juliusz Lita powstał w sposób gwałtowny przeciw sądom węgierskim i krajowej Radzie sanitarnej — zarzucając jednej i drugiej przekupstwo i korrupcją. Assumpt do tych wycieczek wziął z sprawy notarjusza Aladara Nyiry, który sprzeniewierzywszy znaczne sumy udał w więzieniu pomięszanie zmysłów i za pomocą Rady sanitarnej został na wolną puszczony stopę. Jednocześnie dostarczono Nyiryemu paszportu za granicę, który mu umożliwi ucieczkę do Ameryki — gdyby sprawa jego tutaj niepomyślny dlań przybrała obrót. Tak więc, powiada mowca, hulać sobie będzie zbrodniarz spokojnie za oceanem, kiedy ofiary jego zbrodni, biedne wdowy i sieroty, łzy leją gorzkie w pierwszej linji na sąd i Radę zdrowia, które umożliwiły ucieczkę winowajcy.

Jeszcze się wrażenie po tej mowie nie zatarło, kiedy inny członek lewicy Konstanty Olay wystąpił z nowymi wycieczkami przeciw sądownictwu w Węgrzech. Przytoczywszy cały szereg faktów, świadczących o niesumienności, przekupstwie i złej woli sądów węgierskich, oświadczył mowca, że stan sędziowski przez swoje lenistwo, nieuctwo i złośliwą przewrotność stał się szkodliwym i niebezpiecznym wrzodem w organizmie społecznym. Wszystkie chorobliwe objawy w stosunkach społecznych przypisuje Olay sądownictwu. Pozwolił sobie przytem wycieczek przeciw Paulerowi, ministrowi sprawiedliwości; oświadczył, że nie ma doń zaufania, widząc — iż pomiędzy nim a koryfeuszami sądownictwa nie ma owego kontaktu i porozumienia niezbędnego dla przedstawicieli wspólnej sprawy. Wzywany przez przewodniczącego cztery razy do porządku, ukończył mowca rzecz swoją o pół do 4. godzinie.

Ku zdziwieniu opozycji podniósł się Tisza, chcąc odpowiedzieć na wycieczki Olay'a. Powitano go krzykiem i wołaniem, że już późno, że Izba żadnego już mowcy słuchać nie chce. Mimo to odpowiedział Tisza i to w sposób niezwykle ostry i z poruszeniem, które się wnet prawie wszystkim obecnym udzieliło. Przedewszystkiem wystąpił prezydent w obronie Rady sanitarnej, jako niereprezentowanej w Sejmie przez żadnego z członków swoich. Już to samo powinno było wstrzymać mowcę od wszelkich przeciwko instytucji tej inkryminacji; sposób zaś w jaki to uczyniono świadczy o braku najkardynalniejszych pojęć o godności osobistej i poszanowaniu dla prawa. Następnie odpowiadał Tisza Olay'owi, a każde słowo jego było naganą dla stronnictwa opozycyjnego. W niesłychany sposób, mówił prezydent, napadnięto w Izbie prawodawczej na cały stan sędziowski; z obowiązku mojego muszę i w tej sprawie odeprzeć stanowczo niesprawiedliwe zarzuty!

Odpowiedź Tiszy przyjętą została przez Izbę z ogólnem zadowoleniem, w skutek czego ujrzeli się obadwaj z pomienionych mowców, Olay i Lita w niemiłej konieczności usprawiedliwienia poczynionych zarzutów. Tak więc wycieczka lewicy przeciw Rządowi skierowana, zwróciła się przeciwko sprawcom samym, a Tisza może sobie powinszować i taktu, jakiego dał nowy dowód i najzupełniejszego sukcessu.

Poznański korespondent warszawskiego *Słowa* donosi temu pismu, iż znowu w Poznańskiem kursują pogłoski o ustąpieniu z archidjecezjalnej stolicy ks. arcybiskupa Ledóchowskiego. Rząd pruski już sobie podobno upatrzył jego następcę w osobie pewnego proboszcza wiejskiego na prowincji, „człowieka na ten dostojny urząd wcale nieodpowiedniego.“ „Nietylko wiek i nieszczególna reputacja — pisze korespondent *Słowa* — ale głównie brak nauki, wykształcenia kanoniczno-teologicznego i brak wszelkiej samodzielności, nie pozwalają nawet przypuszczać, iżby ów proboszcz miał zasiąść na stolicy św. Wojciecha.

W Petersburgskich Wiedomostiach znajdujemy artykuł, który podać uważamy za właściwe dla tego, aby pokazać, do jakiej to aberacji umysłowej doprowadza szowinizm. W naszych szowinistycznych pismach czytaliśmy już nie jedną elukubracją taką, która była tylko zlepkiem najdziwaczniejszych frazesów i najordynarniejszych impertynencyj robionych na prawo i na lewo naszym sąsiadom. Równie jednak płytkiej, niepolitycznej a ordynarnej rzeczy, jak ta, jaką nam dzisiaj przynoszą *Petersburgskie Wiedomosti* nie czytaliśmy w żadnem z naszych pism, nawet w *Gazecie Narodowej*. Zdawałoby się, że jest to niemożebnem, a jednak jeżeli czytelnik przeczyta artykuł petersburskiego pisma, to przyzna rację słowom naszym. Oto ten artykuł:

„W Krakowie z przerażeniem dostrzegają, że polska intryga jest odtąd odkrytą nie dla samej tylko Rosji, że w Berlinie i w Wiedniu jednakowo zrozumieli żywotność polskiej sprawy i dostrzegli objawów katolicko-separastycznej agitacji, prowadzonej z nową energją w ziemiach byłej Rzeczypospolitej. „„Wyrazy gniewu i pogardy rzecone Polakom przez kanclerza““, przekonały krakowskich patrjotów o tem, że na głowę „„politycznych marzycieli““ nadciąga burza ze strony, z której nie można się spodziewać litości, gdzie nic nie można dokazać podchlebstwem i udawaniem, gdzie nie ma rozprzężenia państwowego i gdzie nie grają w ślepą babkę z antipaństwowemi tendencjami i nie podlegają wpływom przemijających prądów. „„Wyrazy gniewu i pogardy““, jakie rozległy się w Berlinie, zmusiły do zastanowienia się politycznych intrygantów i w pognębieniu wołają oni: „„Optymiści, do liczby których należeliśmy niegdyś i my (*Czas*), sądzili, że Polska będzie przedmiotem starań ze strony polityki niemieckiej i rosyjskiej, ale teraz widzimy, że jest ona przedmiotem licytacji: pytają, kto więcej ją nienawidzi, kto szybciej może posuwać rozkład polskiego ducha?...““ Cóż robić? Jeżeli się nie ziściły marzenia polskich optymistów o dwustronnych staraniach, a Polska stała się przedmiotem licytacji, to wina w tem samych Polaków, a przedewszystkiem tych niepoprawnych agitatorów, którzy z oczami zwróconemi ku Rzymowi na trzy ręce snują intrygę za plecami trzech rządów. W historji nie ma przypadkowości.

„Najnieprawdopodobniejsze, najdziwniejsze i niespodziewane zjawiska mają grunt i przy pewnej przenikliwości mogą być przewidziane. Przyczyny, które warunkowały rozdział Polski, nie mogły wywołać nic innego nad to, co wywołały, a jeżeli owe przyczyny były dostateczne dla tak ważnego wspólnego kroku trzech mocarstw, to widocznem jest, że wszelka poważna próba przywrócenia *status quo ante* musi powołać do życia tę jednomyślność w trzech spadkobiercach Rzeczypospolitej, jaką okazali w chwili jej zgonu. Któż winien? Od Polaków zależało napisać na sztandarze swojej obywatelskiej jedności *finis Poloniae*, zamiast „Polska nie zginęła““ i pojednawszy się ze spełnionym faktem, stworzyć sobie szczęśliwy żywot pod cudzemi berłami, skoro własnego nie umieli ustrzedz. Ile razy już z trzech stron doradzano Polakom porzucić ich „„*überlebte Remineszenz*““ i któż temu winien, że nie chcą wyrzec się swoich przeżytych wspomnień i po śmierci okazują żywotność, jaką się nie odznaczali za życia? Historja nie żartuje: nauki jej zamieniają się w karę, jeśli się ich nie słucha. Lata 1831 i 1863 były naukami dość silnemi, ale Polacy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli i nie dziwota, jeżeli dożyją zupełnie nieznośnego położenia. Już teraz w Niemczech dają się słyszeć głosy o konieczności zachęcenia niemieckich Polaków do emigrowania do zamorskich kolonij i przyciągnięcia Niemców do ziem przez Polaków opuszczonych. *Czas* nazywa takie głosy posępnemi i zapewnia, że tchną one duchem pogańskim; ale kogoż przekona o pożyteczności swoich chrześcijańskich „„dążności do połączenia życia narodowego z życiem wiary,“ antytezy anarchji i rewolucji““? Próbki jednoczenia życia narodowego z życiem wiary (katolickiej) zbyt są wszystkim pamiętne, aby można było pragnąć takiego „zjednoczenia.“

„I teraz się ono wyraża w mowach politycznych z kazalnic kościelnych, w politycznych pielgrzymkach, jak również w zakładaniu jezuicko-separatystycznych organów. Wyraża się i w tej obronie niewinnie uciskanych Polaków, którą podejmuje katolicka *Germania*, przywołująca gromy niebieskie na głowę *Reichsanzeigera* za jego niedawny artykuł. To właśnie jednoczenie polskich rewolucyjnych sił pod sztandarem katolickiej pobożności zmusza spadkobierców rzeczypospolitej do miecenia się na baczności. Nie ma za co przeklinać zjazdu skierniewickiego, który jakoby sprowadził zlanie pangermanizmu z panslawizmem dla „„zniszczenia polszczyzny““: jeżeli *Czas* nie jest wprowadzony w błąd przez swoich wszędzie obecnych szpiegów i jeżeli nawet w Skierniewicach istotnie była mowa o konieczności jednorodnych środków dla zniszczenia nietylko anarchji, ale również i polskiej pośmiertnej żywotności, to i tak znowu — *tu l'as voulu Georges Dandin*. Poselstwo p. Franckiewicza ze skargą za rząd rosyjski, jagielloński sztandar w rękach hr. Dzieduszyckiego, wniosek Jaździewskiego o prawach polskiego języka — wszystko to są fakta, nie zaś „„posępne karty““ z „„pogańskim duchem““, i nie dziwota, że jednoczesny ruch polskiej sprawy w trzech ościennych państwach spowodował jednoczesne zajęcie się trzech rządów środkami ostrożności przeciw nieumierającej intrydze.

„My wszelako silnie powątpiewamy, czy świadomość koniecznego pilnego baczenia na polskie knowania przejęła rządy wszystkich trzech zainteresowanych mocarstw. *Czas* tak wychwala rząd austro-węgierski, „„dający polakom możność żyć normalnem życiem,““ że trudno wątpić o przychylności tego rządu dla polskich patrjotów. Za to przenikliwy kanclerz niemiecki rzeczywiście „„rzuca Polakom wyrazy nienawiści i pogardy,““ według wymownego wyrażenia *Czasu*. Ale gdzież „„zlanie się pangermanizmu z panslawizmem““ na zgubę polszczyzny i co tu ma do czynienia panslawizm? Jeżeli *Czas* zapewnia, że panslawizm również odwrócił się od Polaków, to będziemy temu wierzyli. „„Słowiańskie komitety w Petersburgu i w Moskwie — mówi *Czas* — dzielą Słowiańszczyznę na trzy grupy, ale dla zjednoczenia tych grup w jedno państwo uważają za konieczne unicestwienie polskiej szlachty.““ Rzecz naturalna, że podobny wyrok panslawizmu nie jest pochlebny dla Polaków, i zwłaszcza dla szlacheckiej publicystyki; ale odepchnięci przez Słowian i Niemców, Polacy mogą się pocieszyć przyjaźnią mięszaniny Słowian z Niemcami dumnie wlokącej się w ślady Madziarów pod sztandarem Riegera i przyjaźnie wyciągającej rękę do Polaków. *Les beaux esprits se rencontrent* i polityczne nietoperze zawsze się przyjaźnią ze sobą.“

Tyle słów tej niedorzecznej elukubracji. Do niej możemy tylko tę uwagę dodać, że byłoby bardzo na czasie, aby poważne umysły w Rosji zrozumiały, iż pora położyć koniec temu szczuciu i jątrzeniu dziennikarskiemu. Narody nie mogą ani rozwijać się normalnie, ani w spokoju ze sobą sąsiadować, jeżeli w każdym z nich znajdzie się grupa ludzi, która sobie z wzajemnego ich rozdrażniania utworzy lukratywny przemysł. Jeżeli ustawa prasowa nie wystarcza, to powinna opinja publiczna zaradzić temu i tak rzeczy pokierować, aby panowie dziennikarze starali się inną drogą zjednać sobie prenumeratorów, a nie przez rozbudzanie i podsycanie najbrudniejszych namiętności ludowych. Zwłaszcza, że zapominać o tem nie należy, iż te namiętności raz rozbudzone, gdy nie znajdą okazji do zaspokojenia się na ciele sąsiadów, zwrócą się przeciw własnemu narodowi i albo życie jego zatrują w ciągłych zapasach warstw jednych z drugiemi, albo wywołają nawet walkę domową.

W kilku ostatnich tygodniach zmieniła się do niepoznania sytuacja w Austrji. Ktoby był wyjechał z niej w pierwszej połowie grudnia, nie czytał przez ten czas dzienników, a wrócił do niej teraz, nie umiałby sobie zdać sprawy z tej zmiany, a napróżny szukałby klucza do jej wyjaśnienia. Przypuszczałby bowiem niezawodnie, że musiało zajść coś ważnego, coś takiego, co silnie wstrząsnęło opinią publiczną i popchnęło ją na inne tory. Zacząłby więc przerzucać kartki tych dwumiesięcznych dziejów i szukać na nich opisu jakiegoś wielkiego wypadku, takiego conajmniej, któryby jak snop płomieni wśród okrążających ciemności oświecił ogółowi drogę i pokazał, że zbacza z właściwego kierunku.

Tymczasem nie znalazłby nic podobnego. Na kartkach dziejowej księgi widziałby same tylko codzienne fakta, zwykłe, pospolite, świadczące, że życie rozwijało się normalnie bez żadnych rzutów raptownych, bez żadnych skoków, — zupełnie prawidłowo.

I właśnie tą prawidłowość była przyczyną owej tak radykalnej zmiany sytuacji. Ludności dano czas otrzeźwieć, wyleczyć się z gorączki, ułożyć nerwy do spokoju. A uspokoiwszy się i wytrzeźwiawszy, przekonała się już ona sama przez się, bez wielkiego wytężenia, wprost zdrowym swym rozumem, że nie ci mogą być jej zbawcami i pracują dla jej dobra, którzy w niej podtrzymują nastrój gorączkowy i za pomocą kostycznych środków pragną do ostateczności rozdrażnić jej nerwy.

Przypomnijmy bowiem sobie pierwsze posiedzenia Rady państwa w tej ostatniej sesji. Z jaką to pompą i cyniczną odwagą wystąpili wówczas panowie Neuwirth i Magg z zarzutami uwłaczającemi Rządowi i prawicy. Wszystkie prasowe trąby opozycji zadęły już były nawet przygrywkę do marszu tryumfalnego. Człowiek niezbyt biegły w politycznych rzeczach, a patrzący zdala na walki staczane na parlamentarnej arenie, mógł naprawdę pomyśleć, że zwycięstwo przechyla się na stronę opozycyjnych szermierzy, tak tryumfujące były ich miny, tak pewny siebie ich głos, tak grzmiące oklaski sypały im zastępy krzykaczy wszelakich, tak zwycięskim tonem przemawiała ich prasa. Ludność była w gorączce, rozdrażniona, znerwowana, instynktowo czuła, że nie po stronie opozycji jest racja, — znała ją bowiem z dawniejszych robót, — ale na razie nie umiała sobie zdać sprawy z wartości robionych Rządowi i prawicy zarzutów, nie miała dość spokoju, aby oddzielić fałsz od prawdy, przesadę od rzeczywistości, a oddzieliwszy przyjść do przekonania, że właśnie to co jest prawdą i rzeczywistością, tego nietylko za winę Rządowi poczytać nie można, ale właśnie zapisać mu wypada jako zasługę.

Instynktowo więc nie ufała opozycji, i odpychała się od niej, ale pod wpływem jej zarzutów, rzucanych z niesłychaną odwagą, zaczęła także tracić wiarę w systemat zainaugurowany przez hr. Taaffego, a popierany tak gorąco przez wszystkie wytrawne umysły. Bo z tym faktem, smutnym bardzo ale prawdziwym, pogodzić się trzeba, że dzisiaj szeroki ogół nie wyrabia sobie opinji w rzeczach politycznych, lecz bierze ją gotową ze szpalt dziennikarskich.

Przypomnijmy zaś sobie tylko, co pisały jeszcze przed miesiącem dzienniki wszystkich barw i odcieni od tych, które jawnie walczą pod sztandarem lewicy, do tych, które z samej natury rzeczy powinny bronić obozu prawicy, a jednak dzięki swemu bałamuctwu politycznemu, wyrządzają mu ciągle dotkliwe szkody. Przywołajmy sobie tylko na pamięć tę konniwencję, jaką niemal dzień w dzień można było notować w grudniu między naszą liberalną prasą a zastępem wiedeńskich centralistów. Cóż więc dziwnego, że ogół począł się chwiać i łamać się z myślami, bo jednym nie ufał, a drugim ufać przestawał.

W takich razach, zwłaszcza po perjodzie gorączkowego rozdrażnienia, następuje omdlenie. Ono też ogarnęło szerokie warstwy w czasie parlamentarnej pauzy, a było tak silnem, że wszystkie zabiegi agitatorów politycznych, mające na celu podtrzymanie dawnej gorączki, spełzały na niczem. Próbowano sejmików relacyjnych — a środek to niezawodny i zawsze skuteczny, tym razem jednak nie dopisał; próbowano bąków o przesileniu w łonie gabinetu — działa to bowiem elektryzująco, gdyż jest zapowiedzią częściowej zmiany systematu, tym razem wszakże i to się nie udało. Publiczność przesycona gorączką politycznych zapasów, unikała wszystkiego, co może sprowadzić recydywę. A w miarę tego zaczęła trzeźwieć, a jak trzeźwiała, dostrzegać po której stronie prawda i uczciwa praca około dobra publicznego, a po której bombasty-

---

TEATR.

(Ogólne uwagi. „Dwie miłości“, dramat w 5 aktach Józefa Kościelskiego. „Optymiści“, dramat w 5 aktach Stanisława hr. Rzewuskiego).

(Ciąg dalszy).

Piękna to była chwila dla teatru polskiego, kiedy w roku 65 czy 66 po długim szeregu lat upadku, objął kierownictwo sceny krakowskiej Adam Skorupka, dyletant wytwornego smaku artystycznego. Przy pomocy znakomitego reżysera p. Jasińskiego, a następnie niezrównanego znawcy teatru p. Stanisława Koźmiana, obdarzony szczęśliwym zawsze instynktem i trafnym w rzeczach sztuki sądem, został on odnowicielem sceny, wskrzesił świetne tradycje Męciszewskiego i utworzył w Krakowie scenę wzorową. Pod kierunkiem umiejętnym tych ludzi teatr krakowski stał się prawdziwie praktyczną i wyborną szkołą dramatyczną, zkąd wyszli artyści tej miary i zasług co Rapacki, Ładnowski, Benda, Hoffmanowa, a przedewszystkiem pani Helena Modrzejewska, owa bohaterka dwóch światów, niosąca po za Ocean pochodnie polskiego genjuszu i sławy.

Były to szczęśliwe lata pełnego rozkwitu sceny polskiej, rzeczywista epoka odrodzenia, której promienia dziś jeszcze jaśnieją w całym blasku. Co właściwie nadawało ówczesnej scenie krakowskiej niezatarte piętno wyższości — to był repertoar, w którym wszystkie rodzaje sztuki dramatycznej znalazły właściwy wyraz. W repertoarze właściwie uwidocznia się dopiero cała myśl zasadnicza kierownika teatru. Z układu repertoaru można sądzić o jego estetycznem wykształceniu; to kamień probierczy jego zdolności i zasług. W teatrze krakowskim widzieliśmy wówczas wszystkie dramatyczne sztuki polskie, zasługujące na wznowienie, lub te, którym się zawsze należy miejsce, następnie wszystkie oryginalne, mające warunki scenicznego powodzenia, dalej sztuki francuskie i niemieckie, grane z powodzeniem w Paryżu lub w Niemczech i to w kilka zaledwo tygodni po ich przedstawieniu, wreszcie, co prawie najważniejsze, arcydzieła Szekspira, Calderona, Szyllera, Getego, Sheridana, Racina, nawet Arystofanesa.

W dramatach tych mistrzów zaprawiały się i kształciły młode talenta, będące dzisiaj ozdobą polskich teatrów. Nie było tygodnia bez nowej sztuki, nie było prawie miesiąca, w którymby się nie pojawiło jakieś arcydzieło klasyczne.

Gust publiczności uszlachetniał się i doskonalił na podobnych wzorach, nabierała ona smaku i zamiłowania do rzeczy poważnych, pięknych i wzniosłych. Edukacja wybornie się udała.

Porzućmy jednak historję i wróćmy do teraźniejszości, która niestety mniej jest od przeszłości powabną. Teatr lwowski posiada, jak to już wykazaliśmy poprzednio, dostateczny materjał artystyczny do wytworzenia repertoaru odpowiedniego wybredniejszym nieco aspiracjom.

Z żalem musimy wyznać, że pod tym względem dyrekcja nie spełnia swego zadania, a przynajmniej nie w tej mierze, ile mielibyśmy prawo i obowiązek wymagać. Głównym i kardynalnym błędem w układzie repertuaru — jest **wszelki brak przewodniej myśli i z góry obmyślanego a konsekwentnie przeprowadzonego planu**. Wszystko tu jest przypadkowe, dorywcze, bez jakiegokolwiek systemu i ładu. W jednym np. tygodniu ukazują się na scenie dwie sztuki Sardou i to bardzo do siebie zbliżone, choć nierównej wartości; w innym znowu Jerzy Ohnet nie schodzi z afisza. Powodem tego zjawiska jest zupełny brak repertuaru **bieżącego**. Każdy teatr dobrze prowadzony, musi posiadać zasób kilkunastu sztuk różnego rodzaju gotowych zupełnie do grania; od czasu do czasu zaś powinny się ukazywać nowości inteligentnie wybrane, bądź to polskie, bądź to tłumaczone, które już zagranicą szczęśliwie przeszły przez ogniową próbę przedstawienia.

Tym jedynie sposobem repertoar staje się ożywionym, urozmaiconym i zajmującym. Arcydzieł prawie nie widujemy chyba czasem od wielkiego święta. Zbójców, Otella, Ryszarda III., którego wprowadził p. Żelazowski, inne zdają się nie istnieć dla dyrekcji, a cóż dopiero powiedzieć o charakterystycznym fakcie pominięcia zupełnego komedji **Fredry** (ojca). Trudno do uwierzenia, że we Lwowie, gdzie żył i umarł twórca polskiej komedji, gdzie grywali dwaj najznakomitsi przedstawiciele jego kreacji Nowakowski i Smochowski, dzieła autora „Ślubów Panieńskich“ nie mają prawa obywatelstwa na scenie! Wkrótce młoda generacja znać nie będzie komedji, któremi zachwycali się jej ojcowie a aktorowie grać ich nie potrafią. **Fredro** syn równie popadł w niełaskę. Dziwnego to zaiste rodzaju ostracyzm! Mamy również żal do dyrekcji, że zapomina zupełnie o ważnym własnym dziale sztuk ludowych. Jak chętnie ujrzelibyśmy: „Krakowiaków i Górali“ „Wiesława“ i t. d. Mając operetkę do pomocy, wystawienie sztuk podobnych nie trafiłoby na trudności, a byłoby bardzo pożądanem.

Wielkiem i nie do przebaczenia grzechem dyrekcji było że nie zaprosiła pani Modrzejewskiej na występy gościnne do Lwowa. Pojawienie się takiej artystki na scenie, przynosi zaszczyt dyrekcji, kształci artystów, podnosi poziom teatru, tymczasem nie zrozumiała tego dyrekcja i nie skorzystała z jedynej sposobności. Posiadamy list wielkiej artystki, która pisze do nas, że najchętniej byłaby przybyła do Lwowa, skąd najlepsze wyniosła wspomnienie, ale dyrekcja nie zaprosiła jej gdy była wolną, dopiero w ostatniej chwili, kiedy swym czasem rozporządziła, zgłosiła się do niej i to nie wprost, lecz za pośrednictwem trzeciej osoby. Pani Modrzejewska jako Marja Sztuart, Ofelja, Nora i t. d. byłaby aureolą swojej genialnej natury rzuciła blask niezwykły na lwowski teatr. Stało się niestety inaczej. Słyszeliśmy pannę Russel — to bardzo ładnie, ale nie widzieliśmy pani Modrzejewskiej — to bardzo źle!

Przechodząc od repertoaru, do jego wykonania t. j. do przedstawień, zapisać należy, że w ogóle jedne drugim są bardzo nierówne.

Obok wybornych widywaliśmy i takie, którychby nawet prowincjonalny teatr musiał się powstydzić, jak n. p. przedstawienie „Lola“. Najlepszym nawet przedstawieniom brak poprawności, tego zupełnego wykończenia, delikatnego zaokrąglenia, tego co Francuzi nazywają *le fini*. Dobry bardzo i zręczny reżyser częstokroć z miernymi aktorami stworzy pracą usilną całość odpowiednią; we Lwowie przeciwnie, ze znamienitemi siłami przedstawienie wypada nie raz blado.

Przedstawienia tutejsze przypominają mi owe obrazy, w których pojedyncze figury dobrze i z talentem są namalowane, ale które w skutek nieszczęśliwego ugrupowania działających osób, złego rozdzielenia światła i cienia, braku właściwego kolorytu i perspektywy nie robią należytego wrażenia i nie wywołują efektu.

Do tego przyczynia się i ta okoliczność, że w wielu sztukach role nie są właściwie rozdane. Moglibyśmy wiele przytoczyć przykładów na poparcie tego twierdzenia, do czego zresztą w ciągu naszych studjów będziemy mieli nieraz sposobność. Wobec tego nic dziwnego, że rola nie wychodzi **plastycznie**, mówiąc językiem teatralnym.

Jednem słowem przypatrując się pilnie przez kilka miesięcy przedstawieniom w tutejszym teatrze nabraliśmy przekonania, że z tym samym personalem, przy lepszej i umiejętniejszej reżyserji, możnaby osiągnąć daleko pomyślniejsze i świetniejsze rezultaty.

(Dokończenie nastąpi).

Figaro.

czny frazes, nieszlachetna insynuacja, osobisty interes.

I proces ozdrowienia szedł tak szybko, że kiedy po świątecznej ferji otworzyła się ponownie Rada państwa, sympatje ludności przechylały się już stanowczo ku stronie rządu i prawicy. Porwane zaś zostały odrazu widokiem tych śmiałych, rozumnych, a pełnych programowej myśli projektów, jakie Rząd zaraz w pierwszym dniu złożył do marszałkowskiej laski.

Bez żadnych więc nadzwyczajnych faktów, bez żadnych wstrząśnień gwałtownych, wprost siłą prostego otrzeźwienia, jakie daje spokój, skupiły się znowu sympatje ludności po stronie tych, którzy dziś stoją przy publicznym warstacie i pracują na nim gorliwie dla publicznego dobra. A taka naturalna kuracja, bez lekarstw i sztucznych preparatów, daje rękojmię trwałego zdrowia, bo świadczy, że organizm państwowy żyje i rozwija się prawidłowo, skoro sam przez się mógł wrócić do prawidłowego stanu, i budzi nadzieję, że przy przyszłych wyborach do Rady państwa wichrzenia agitatorów nie zdołają już tak snadno odciągnąć ogółu od tego kierunku, który jest jedynie w możności zapewnić równouprawnienie wszystkim narodowościom i zgotować im lepszą przyszłość w Monarchji.

KORESPONDENCJE.

Kraków 29. stycznia.

(§) Dnia 8. lutego odbędzie się walne zgromadzenie krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej, na którym wydział złoży sprawozdanie ze swej działalności, a członkowie wybiorą nowy zarząd.

Towarzystwo to powstało przed dwoma laty z inicjatywy kilku ludzi dobrej woli a przyjęte z wielkiem zapałem zwłaszcza przez młodzież, która gromadnem przystąpieniem zamanifestowała swój udział w ważnej sprawie oświaty ludu, — pracowało dość pilnie na tem polu nie dość jeszcze u nas uprawianem. — Zapał ten jednak, jak zwykle, nie potrwał długo; liczba członków, która z początku cyfrę 1000 znacznie przekroczyła, spadła już w następnym roku, a zajęcie się ogółu osłabło także, pomimo upominań prasy i odezw zarządu. A przecież oświata ludu to najbardziej piekąca sprawa dla naszego społeczeństwa, a gdziekolwiek objawia się jakiś ruch w tym kierunku, należy go szczerze poprzeć i poważnie poprowadzić.

Towarzystwo nasze ograniczyło swoją działalność do trzech powiatów: krakowskiego, chrzanowskiego i wielickiego, a zadaniem jego było rozszerzanie wydawnictw „Macierzy Polskiej“ i innych użytecznych książek ludowych. tudzież zakładanie czytelni wiejskich i organizowanie wzorowych gospodarstw rolnych. — Dodajmy, że gdy za radą księdza biskupa Krakowskiego pierwotny statut Towarzystwa nieco ogólnikowy zmieniono w ten sposób, iż kształcenie ludu ma się odbywać bezwarunkowo w duchu katolickim, a dla dodania większej wagi temu zdaniu wybrano prezesem księdza kanonika Pelczara profesora i b. rektora Jagiellońskiego uniwersytetu.

Wobec tego spodziewać się można było, że nasze duchowieństwo, udzieli swej pomocy organom Towarzystwa, które inaczej nie miałoby gruntu pod nogami i nie mogłoby ani dość energicznie ani dość skutecznie dążyć do wytkniętego celu. Że się nie zupełnie tak stało, że proboszcze wiejscy nie mogli, czy nie chcieli zająć się silniej poparciem Towarzystwa, przypisujemy to jakiemuś nieporozumieniu chwilowemu i nie wątpimy, że prędzej czy później zgoda pod tym względem nastąpić musi.

Inną jeszcze cięższą trudność napotkało Towarzystwo tam, gdzie się jej najmniej spodziewać mogło tj. w nauczycielstwie wiejskiem.

Rada szkolna osobnym okólnikiem zakazała używania budynków szkolnych na odczyty popularne, jakie Towarzystwo urządzać zamierzało i nie pozwoliła nauczycielom zajmować się bibliotekami i czytelniami pozakładanemi już w wielu miejscowościach. Wiemy, że czyniąc to, opierała się Rada na literze prawa, gdyż ustawy rzeczywiście zakazują nauczycielom zajmowania się czem innem oprócz obowiązkami ich stanu.

Zdaje nam się jednak, że postanowienie to jest zbyt rygorystycznie zastosowane w obecnym wypadku, a ścisłe jego wykonanie może zniszczyć całą dotychczasową pracę Towarzystwa, które przecież nie znajdzie po wsiach inteligentniejszych żywiołów nad proboszczów i nauczycieli do kierownictwa czytelni i bibliotek. Zarząd krakowski Towarzystwa wniósł już nawet do Sejmu petycję, domagającą się zmiany ustawy szkolnej w tym kierunku, aby nauczycielom ludowym wolno było pełnić także inne funkcje, o ile one nie będą ich odrywały od zajęć szkolnych. Życzyć należy tej petycji podobnego powodzenia, jakiego doznała petycja Towarzystwa o zniesienie chajderów, która rezolucją sejmową silnie popartą została.

Towarzystwo wykonało dotychczas zaledwie małą część swego programu, częścią dla braku funduszów, częścią może z powodu nie dość rozwiniętej energji zarządu. W każdym razie założono już 36 czytelń po wsiach, a w samym Krakowie powstały czytelnie: na Zamku, dla tamtejszego wojskowego szpitala, w zakładzie karnym dla więźniów, w szpitalu św. Łazarza i jedna publiczna, otwarta bezpłatnie dla wszystkich.

Nie potrzebujemy podnosić, jak użyteczne, i nieodzowne były wszystkie powyższe księgozbiory świeżo w Krakowie zorganizowane, a najlepszym dowodem ich potrzeby jest fakt, że lokalności tych czytelni są zawsze przepełnione, że niepodobna nastarczyć książek dla czytających na miejscu i dla tych, którzy książki do domu wypożyczają; że niebawem Towarzystwo przystąpi do otwarcia nowych bezpłatnych wypożyczalni, o ile na to pozwoli stan funduszów.

Oprócz tego w wielu miejscowościach, przy probostwach i szkołach pozakładano wzorowe ogródki, zakupiono narzędzia rolnicze i pszczelnicze przyrządy, wspierano budowę nowych szkół, rozsyłano książeczki bezpłatnie i za zniżoną ceną ludu włościanom; w ogóle praca Towarzystwa była mimo wielu trudności nadzwyczaj zbawienna, a ziarno oświaty przezeń zasiane wszędzie trafiało na dobry grunt.

Należy więc czynnie i wytrwale poprzeć dalszy rozwój tej instytucji, tembardziej, że u nas i na tem polu chcieli krzykacze wywiesić jakieś sztandary polityczne; solidarność więc i gorliwy udział żywiołów poważnych jest konieczną rzeczą, zwłaszcza teraz wobec zbliżających się wyborów. Dla tego zachęcamy jak najmocniej tych wszystkich, którym dobro ludu naszego na sercu leży i którzy pracę około jego oświaty podejmują nie dla popularności własnej lub dla osobistych celów, aby czynnem wystąpieniem Towarzystwo poparli i kierunek jego w swoje ręce wzięli.

Kraków 30. stycznia.

(§) Do rzędu instytucyj, które powstaną wskutek teraźniejszego przesilenia ekonomicznego w kraju i chęci naprawy, objawiającej się w ciągłych głosach publicznych — należeć będzie niezawodnie i szkoła kobiecego gospodarstwa domowego.

Początek pracy w tym kierunku mamy już w Krakowie. Zasłużony wielce na polu prac około podniesienia naszego rolnictwa p. Karol Langie wystarał się był jeszcze w zaprzeszłym roku w ministerjum rolnictwa o trzy stypendja dla uczennic, pragnących się zająć nauką kobiecego gospodarstwa domowego. A wybrawszy trzy stypendystki, wysłał je do Saksonji; w okolicy Drezdna istnieje bowiem specjalna szkoła tej nauce poświęcona. Uczennice skończywszy kurs nauki, powróciły do kraju i pomocnemi będą p. Langiemu po zrealizowaniu dalszych jego planów w tym kierunku, mianowicie w założeniu w Krakowie lub okolicy szkoły kobiecego gospodarstwa domowego.

Zanim te plany dadzą się zrealizować, rozpoczął p. Langie od kilku tygodni w tutejszym Muzeum techniczno-przemysłowem na kursach prywatnych przez p. Adrjana Baranieckiego urządzanych wykłady o kobiecem gospodarstwie domowem. Wykłady te odbywają się w sobotę, a że są bardzo pożyteczne, świadczy o tem między innemi ten fakt, że liczba uczennic doszła już do 80.

Pierwsze trzy wykłady obejmowały część ogólną i że tak powiemy, programową nauki kobiecego gospodarstwa domowego. Prelegent poprzedził swój wykład historycznem i społeczno-ekonomicznem uzasadnieniem potrzeby powyższej nauki, przyczem nie szczędził gorących słów zachęty dla swych słuchaczek, wskazując im wzory tak u nas w dawnych czasach, jak i za granicą. W szczególności odwołał się prelegent do pracy zasłużonej około wychowania panien autorki, niemki, pani Pinof z Wrocławia, tudzież do prelekcyj dr. Richtera w Wiedniu, które dla pożytku naszych pań w przekładzie polskim z dodaniem wniosków dla nas pożytecznych ogłosiła p. Borkowska, wydawczyni *Kroniki rodzinnej* w Warszawie. Autorka warszawska podnosi naprzód, że w Niemczech przyjęto dziś za zasadę, iż kobiety należy wychowywać do pracy, że wychowanie bez planu, nie przyuczające do poważnego myślenia i praktycznego życia, wytwarza istoty egzaltowane, eteryczne, celu i przeznaczenia swego chybiające; że z szeregu nauk kobiecie nieodzownych, obok innych pedagogja powinna matkom przynosić światło do izby dziecinnej; nauki przyrodnicze, stosowane, objaśniać mają o sposobach trafnego i umiejętnego żywienia i utrzymywania zdrowia i życia; ekonomja zaś ma uczyć, jak gospodarować, jak być pracowitą i oszczędną.

W szeregu rozlicznych środków działania, zmierzającego do zwrócenia kobiet do pożytecznej i ekonomicznie produkcyjnej pracy, uznaje pan Lange zgodnie z autorką konieczność teoretycznego i praktycznego sposobienia młodych niewiast do wszelkich gałęzi gospodarstwa domowego i wiejskiego. Tu więc należy umiejętne obchodzenie się z mleczywem; chów drobiu i trzody; ogrodnictwo w najszerszem tego słowa znaczeniu; pszczelnictwo połączone z wyrobem miodu na napój; przyrządzanie wszelkich zapasów do spiżarni i apteczki koniecznych; kucharstwo i piekarstwo; rachunkowość gospodarska i handlowa; sztuka przykrawania i szycia i t. p. W takiem praktycznem dopełnieniu zasadniczego wychowania znalazłaby dla siebie kobieta naukę, jak rozporządzać używaniem przedmiotów jej zarządowi przypadających, oraz jak przemysłem swoim przetwarzać je i bogactwo własne i rodzinnego koła powiększać. Niezamężna a w sposób powyższy wykształcona kobieta byłaby niezawodnie wszędzie upragnioną i poszukiwaną, znalazłaby więc mogła z łatwością dla siebie korzystne samodzielne stanowisko. Takich jednak wyręczycielek czyli tak zwanych gospodyń, umiejętnie, gorliwie a świadomie obowiązki swoje spełniających, jest w kraju naszym brak zupełny. Patrząc na tyle młodych niezamożnych kobiet z wyższem wychowaniem, które po miastach z trudnością tylko mogą na utrzymanie swoje zarobić, lub nie wiedzą co z czasem począć, nasuwa się mimowoli myśl, jakby należycie wykształciwszy się teoretycznie i praktycznie w kierunku wskazanym, mogły znakomite gospodarstwu oddać u nas usługi i obok własnego utrzymania przyczynić się niemało do podniesienia dochodów i bogactwa krajowego.

Na tle powyższych uwag osnuł też p. Karol Lange program odczytów, swoich jak powiedział, szczerych rad i życzeń dla naszych pań, przyczem jednak się zastrzega, jakoby tylko dla wyręczycielek czyli szafarek przeznaczone być miały jego wykłady. Reforma musi wyjść od góry; póki nie będziemy mieli pań, gruntownie usposobionych do prowadzenia gospodarstwa domowego, nie będziemy mieli i dobrych wyręczycielek; dla pań więc domu przeznacza prelegent przeważnie swoje wykłady.

Co do podziału wykładów zajmuje się prelegent najprzód miejskiem gospodarstwem domowem a na wiosnę wiejskiem. Obydwa te gospodarstwa mają wiele cech wspólnych ale też i różnic. W miejskim domu kobieta rządzi a mąż jej tylko pieniędzmi pomaga; na folwarku przeciwnie, mąż rządzi a kobieta mu pomaga pracą i wiedzą. Główne zajęcia gospodyni domu w mieście i na wsi, są zdaniem prelegenta, jednakie, te same, a nawet w mieście o tyle trudniejsze, że tu wszystko gotowym groszem trzeba opłacać i czynić prawie same tylko wydatki. Owoż co do tych wydatków w życiu, mianowicie miejskiem, przedstawia p. Langie modłę jak dzielić należy dochody i jak się starać, aby wystarczyły na pokrycie wydatków, bo w gospodarstwie domowem nie można jak w preliminarzach państwowych układać naprzód wydatki a potem do nich stosować dochody, a gdy te nie wystarczą rozpisywać nowe podatki, względnie zaciągać długi.

W gospodarstwie domowem muszą dochody wystarczyć na wydatki i te ostatnie muszą się do pierwszych stosować, jeżeli zaś nie da się zaprowadzić oszczędność, trzeba się uciec do przemysłu domowego, aby zwiększyć dochody kółka rodzinnego. Prelegent przytacza w dalszym ciągu swego wywodu ten smutny fakt, że w Krakowie jest przeszło 3000 żon i córek, których utrzymanie zapewnione tylko póki ojciec lub mąż żyje; we Lwowie jest takich niewiast 6.758. Jakiż to więc ogrom niedoli, mówi dalej prelegent, jeśli taka jest liczba niewiast nie umiejących się przyczynić do utrzymania rodziny, ale z drugiej strony, jakaż to potęga sił, gdy taka liczba pracownic wesprze faktycznie głowę rodziny za życia, a wdowę po jego śmierci pracą własną, umiejętną a wydatną.

Zanim znajdziemy sposobność obznajomienie czytelników z dalszym tokiem praktycznym wykładów p. Karola Langiego, nadmienić winniśmy, że co do przemysłu domowego niebawem wyda u nas bardzo korzystne owoce dla miasta i kraju urządzony w Krakowie przy tutejszej szkole wyższej żeńskiej kurs praktycznych robót kobiecych, który zostaje pod kierownictwem dyrektora tejże szkoły p. Antoniego Gettlicha i nauczycielki panny Mayerberg. Miasto wysłało było w swoim czasie pannę Mayerberg jako stypendystkę dla wykształcenia się w słynnej szkole praktycznych robót kobiecych w Reitlingen, w Wirtenbergji, aby następnie zająć mogła stanowisko nauczycielki na kursie krakowskim. O kursie tym przyjdzie nam niebawem mówić obszerniej.

Wiedeń 29. stycznia.

(!!) Dzisiejsze posiedzenie Izby zapełniły sprawy podrzędniejszego znaczenia, nie wywołujące z samej natury rzeczy ani długiej, ani drażliwej dyskusji. Pod względem merytorycznym załatwiono bez rozpraw w drugiem i trzeciem czytaniu projekta do ustaw o uwolnieniu od podatku dochodowego listów zastawnych morawskiego banku hipotecznego i o uwolnieniu od należytości skarbowych kontraktów w sprawie zalesienia Karstu. Wnioski Mengera i Meznika, dotyczące opodatkowania towarzystw zarobkowo-gospodarczych, przydzielono w pierwszem czytaniu komisji dla kas zaliczkowych i oszczędności, a uzasadniony obszernie przez Jaquesa wniosek w sprawie prowadzenia egzekucji na emeryturach prywatnych oficjalistów, przekazano do zbadania komisji prawniczej.

Dyskusję wywołała dopiero nieco bliżej nasz kraj obchodząca sprawa utworzenia grecko-katolickiego biskupstwa w Stanisławowie. Rząd zażądał dzisiaj dodatkowego kredytu, potrzebnego na wybudowanie odpowiedniej dla nowego biskupa rezydencji. Nie chodzi tu jeszcze o dotację dla nowego biskupstwa, gdyż dotacja ta stanowi część budżetu, a bliższe zastanowienie się nad nią będzie wskazanem podczas rozpraw budżetowych. Tymczasem poseł Kowalski już dziś dotknął stosunków dotacji stanisławowskiej dyecezji. Sam projekt powitał on z radością — gdyż odpowiada on długo żywionym życzeniom grecko-katolickiej ludności, lecz równocześnie zwrócił uwagę na potrzebę wyższego uposażenia biskupstwa i jego kapituły, prosząc, aby na tę sprawę podczas obrad budżetowych baczną zwrócono uwagę.

Uwagi te skłoniły ministra wyznań i oświecenia barona Conrada do odpowiedzi. Już w wywodzie motywów do niniejszego przedłożenia uzasadnił rząd krótko konieczną potrzebę utworzenia nowego biskupstwa, gdyż arcybiskupstwo lwowskie obejmuje 800 mil kwadratowych — i przeszło 1200 probostw, a przeto kierunek duchowny i nadzór tak rozległej dyecezji przez jednego arcypasterza jest nadzwyczaj utrudniony. Rozdzielić ją tedy trzeba było na dwie części, przyczem nowe biskupstwo stanisławowskie obejmie przestrzeń 400 mil kwadratowych z odpowiednią liczbą parafij. Rząd atoli musiał się liczyć ze skromnymi funduszami, jakie na ten cel poświęcić może państwo, a z tego wypływa skromna stosunkowa dotacja 7.000 złr. dla biskupa stanisławowskiego.

Na zarzut Kowalskiego, iż należało poprzednio biskupa i kapitułę zapytać o zdanie co do kwestji dotacji, odpowiada minister, że porozumienie takie nie mogło nastąpić, gdyż metropolia lwowska nie jest jeszcze obsadzona, lecz w myśl prawa kanonicznego porozumiano się z Kurją apostolską zarówno co do emerytury arcybiskupa Sembratowicza, jak i co do dotacji 7.000 złr. dla przyszłego biskupa stanisławowskiego. Prawda, że niedawno uznano jako normalny dochód biskupstwa 12.000 złr., a arcybiskupstwa 18.000 złr., lecz tego w danych wypadkach się nie trzymano i ze względu na finansowe stosunki państwa trzymać się nie można było. Kongrua dla biskupów i arcybiskupów nie istnieje. Pojęcie kongruy na te dotacje nie może mieć zastosowania. Rząd zresztą przy uposażeniu biskupa i kanoników wziął za podstawę budżet biskupstwa przemyskiego. Nie da się zaprzeczyć, że dochody nowego biskupstwa są bardzo skromne, lecz będzie można je w przyszłości w miarę potrzeby i polepszenia się stanu finansów powiększyć.

Po mowie ministra przyjętej oklaskami i po końcowem przemówieniu referenta dep. Euzeb. Czerkawskiego, przyjęto żądany przez rząd kredyt dodatkowy w drugiem czytaniu. Na jutrzejszem posiedzeniu przyjmie go Izba także w trzeciem czytaniu, gdyż sprawa ta postawiona na porządku dziennym jutrzejszego posiedzenia zaraz po pierwszem czytaniu przedłożenia w sprawie zmiany ordynacji wyborczej dla Czech.

W myśl pierwotnego programu miała jutro zaraz po załatwieniu tych dwóch spraw przyjść na porządek dzienny nowela o należytościach skarbowych. Tymczasem dziś wniósł poseł Kraus zmianę porządku dziennego, żądając, aby przed tą nowelą rozpoczęły się obrady nad ustawą kongrualną. Był to manewr lewicy, która zawsze obojętna na kwestje kościelne, a nawet z zasady sprzeciwiająca się podwyższeniu kongruy duchowieństwa parafjalnego, wobec zbliżających się wyborów rozczula się nad dolą duchowieństwa i bierze je w opiekę, aby w ten sposób, jeżeli nie pozyskać, to przynajmniej nieco przychylniej dla siebie usposobić wpływowe w niektórych prowincjach koła kościelne, za któremi na dane hasło podczas wyborów pójdą szerokie warstwy ludności szczególnie wiejskiej.

Wnioskowi Krausa sprzeciwił się hr. Henryk Clam, ale mimo to przy głosowaniu przeszedł on większością 4 głosów, bo 130 przeciw 126 głosom. Drobna to na pozór sprawa, ale jednak dla prawicy wcale nie mała, a niech będzie na przyszłość dla niej wymowną przestrogą i niech spowoduje jej członków, aby lekkomyślnie posiedzeń Izby nie opuszczali i swoją dobrowolną, niczem nieusprawiedliwioną absencją swoim nieprzyjaciołom politycznym zwycięztwa nie przysparzali. Dziś absentowało się wielu posłów z prawicy, a z prawdziwą przykrością zaznaczyć należy, że i ławy polskie świeciły pustkami.

Znany z swej zapalczywości przeciw dziennikarstwu Schönerer, upraszał w imieniu własnem i w imieniu swego jedynego towarzysza politycznego p. Fürnkranza, aby zarezerwowane dla posłów miejsca nie były zajmowane przez inne osoby, a szczególnie przez reporterów dziennikarskich. I przy tej sposobności nie mógł się p. Schönerer powstrzymać od kilku ubliżających reprezentantom prasy uwag, w skutek czego postanowili oni jutro nie pojawić się ostentacyjnie w loży dziennikarskiej, a zdaje się, iż prezydent na jutrzejszem posiedzeniu uzna za stosowne skarcić tego posła za niewłaściwe jego wyrażenie.

Wiedeń 29. stycznia.

(Z Izby).

Po dawniejszych doświadczeniach tego rodzaju zdawało się, że prawica oszczędzi sobie podobnych przyjemności, jak ta, która ją dziś znowu spotkała. W skutek absencji wielu deputowanych prawicy, a między nimi niestety także i wielu członków Koła polskiego, którzy przed końcem dzisiejszego posiedzenia opuścili salę obrad, spiesząc na — obiad, znalazła się lewica na chwilę w większości i naturalnie skorzystała z tego natychmiast, ażeby zadać małą ale dotkliwą klęskę zarówno rządowi jak i sprzymierzonej z nim prawicy. Chodzi tu wprawdzie tylko o kwestję formalną, bo o zmianę porządku dziennego, tj. o zepchnięcie z niego noweli o należytościach, która jak wiadomo wedle wyraźnego życzenia rządu miała przed wszystkimi innymi sprawami być załatwioną. Jakkolwiek to zwycięztwo lewicy dopiero pod sam koniec posiedzenia nastąpiło, mówimy o niem już na początku naszego sprawozdania, gdyż jest najważniejszym wypadkiem dzisiejszego dnia obrad. Przebieg ich był zresztą w ogóle pozbawiony wszelkiego głębszego interesu i wyczerpany już został w całej swej istotnej części przez telegramy *Przeglądu*.

Na początku posiedzenia interpelował deputowany Roser przewodniczącego komisji, wybranej przed paru laty dla obrad nad ustawą akcyjną o stanie jej prac. Dep. Hausner, jako przewodniczący komisji, odpowiada, że przy debatach nad tą ustawą wnikającą głęboko w stosunki świata handlowego i przemysłowego, okazała się potrzeba zwołania ankiety rzeczoznawców. Sprawozdanie z rozpraw tej ankiety zostało pod koniec minionej sesji wydrukowane, ale komisja nie miała do tej pory sposobności obrad swych nad ustawą dokończyć.

Dep. Jacques, *l'enfant terrible* lewicy, który nieprzebranymi potokami swej wymowy wprowadza każdą razą w prawdziwą rozpacz nawet własnych stronników, korzysta ze stojącego na porządku dziennym pierwszego czytania swego wniosku o egzekucji na dochody pensjonowanych urzędników prywatnych, ażeby w miejsce zwykłego krótkiego umotywowania wniosku, popisać się przed parlamentem licznymi excerptami z prawa rzymskiego i kanonicznego „o długach“ i „zobowiązaniach“, wygłosić cały szkic historyczny rozwoju prawa dłużniczego w starożytności i wiekach średnich, przejść szczegółowo kraje ościenne, a na końcu dopiero przystąpić do rozpatrzenia stosunków austrjackich. Mowy dr. Jacques'a wywierają na Izbę regularnie ten skutek, że wypróżnia się do połowy już w chwili, gdy prezydent udzielając mu głosu wypowiada to nazwisko „Jacques“. Rozumie się, że i efekt dzisiejszej mowy nie mógł być innym. Merytoryczną częścią jego wniosku jest żądanie, ażeby płace pensjonowanych urzędników prywatnych i ich wdów i sierót tylko w 1/3 części egzekucji podlegały, a i to tylko wtedy, jeżeli pozostała 2/3 płacy, co najmniej 500 złr. wynoszą. Zgodnie z życzeniem mowcy został ten wniosek do komisji prawniczej odesłany.

Dep. Schönerer wskazał przy tej sposobności różnicę, jaka pod względem prawa egzekucji co do urzędników państwowych a prywatnych panuje. Podczas gdy ustawą z r. 1873 stanowi dla urzędników prywatnych jako wolne od egzekucji minimum 600 złr. rocznie, cieszą się urzędnicy państwowi na mocy ustawy z r. 1882 takiemże minimum 800 złr. a i to z wyłączeniem dodatku na pomieszkanie. Mowca wnosi ażeby tę ostatnią ustawę rozszerzyć także na czynnych i pensjonowanych urzędników prywatnych. I ten wniosek zostaje do komisji prawniczej odesłany.

Następuje pierwsze czytanie wniosków Mengera i Meznika, którzy obaj zmianę a raczej uzupełnienie ustawy z dnia 27. grudnia 1880 o podatku zarobkowym i dochodowym stowarzyszeń zarobkowo-zaliczkowych za zadanie sobie wzięli. Mengerowi chodzi przedewszystkiem o zapobieżenie szykanom ze strony niższych organów finansowych, interpretujących ustawę na niekorzyść rzeczonych stowarzyszeń. Dep. Haniszek sądzi, że przyczyna tych szykan leży w niedostatecznem wykształceniu ekonomicznem rzeczonych organów i nierozumieniu przez nich ustawy. Wiesenburg interpeluje przy tej sposobności ministra finansów w sprawie rzekomego przekroczenia ustawy przez władze finansowe w znanem mu wypadku dotyczącym stowarzyszenia oszczędności w Römerstadt. Meznik domaga się już w ustawie samej dalszych ułatwień podatkowych dla stowarzyszeń, podnosząc ich błogą pod względem społecznym działalność. Po przemówieniu reprezentanta rządu Radcy Hubera i ponownej przemowie Mengera odesłano oba wnioski do komisji finansowej.

Cokolwiek bliżej obchodząca nas debata wywiązała się przy drugiem czytaniu ustawy, otwierającej kredyt dodatkowy za rok 1884 na budowę rezydencjalnego domu dla unickiego biskupa w Stanisławowie. Dep. dr. Euz. Czerkawski referuje imieniem komisji budżetowej i wnosi przyjęcie przedłożenia rządowego. Jakkolwiek ani na chwilę nie można było wątpić o przyjęciu tego przedłożenia przez Izbę, uważał pan hofrat Bazyli Kowalski za stosowne tanim kosztem próbować zdobycia sobie laurów gorliwego rzecznika ruskiej narodowości i w dłuższej przemowie, której, nawiasem powiedziawszy — przy jego fatalnym monotonnym i czytającym sposobie mówienia, nikt w izbie ani w loży dziennikarskiej dobrze rozumieć nie mógł — bądź to dziękować rządowi za utworzenie tego biskupstwa, bądź imieniem swych rodaków prosić izbę, ażeby przy przyszłej debacie budżetowej zechciała podnieść dotację stanisławowskiego biskupa i nowej kapituły. Ponieważ na dzisiejszem posiedzeniu traktowany był tylko kredyt dodatkowy na rezydencję za rok 1884, a kwestja dotacji biskupa i kapituły dopiero przy wcale niedalekiej już zresztą naradzie nad budżetem roku 1885 będzie mogła być omawianą, żałowaliśmy w interesie bronionej przez p. Kowalskiego dobrej sprawy, że w tak nieekonomiczny sposób marnował wystrzelawszy już dziś proch swych argumentów, które za kilka tygodni przy odpowiedniej pozycji budżetu z skutkiem o wiele lepszym mogły być użyte. Szerokie wywody p. Kowalskiego o historji usiłowań ruskich w celu kreacji tego biskupstwa i wszystkich mniejszych i większych kwestjach z nim związanych, wzbudziły tylko niecierpliwość w nielicznych jego słuchaczach i ściągnęły mu delikatne pouczenie ze strony ministra Conrada, że dziś nie „dotacja“ ale „rezydencja“ biskupa stoi na porządku dziennym.

Pod koniec posiedzenia pozwolił sobie p. Schönerer małej zemsty na dziennikach tutejszych i prowincjonalnych za przemilczenie jego wtorkowej mowy nordbańskiej Nr. 2. Poskarżył się więc u prezydenta na znienawidzonych przezeń „piszczyków dziennikarskich“, że zawadzają mu na korytarzach Izby. Telegrafowana wam już odpowiedź prezydenta, przyznająca słuszność Schönererowi, doprowadziła do małego *strike* dziennikarskiego, któremu właściciele dzienników zapewne wkrótce koniec położą.

Następnie zabrał głos poseł dr. Kraus i wskazawszy na niegodne ucywilizowanego państwa warunki bytu materjalnego przeważnej liczby katolickich kapłanów, mniema, że należy o tyle, o ile pozwalają na to finanse państwa, pomyśleć nad ulepszeniem ich egzystencji. Przedłożenie kongrualne przyjmie izba — zdaniem mowcy — z rzadką jednomyślnością, gdy przeciwnie nowella należytościowa dość obszerną niezawodnie wywoła dyskusję.

„Starać się nam także trzeba — mówi dr. Kraus — zasłonić katolickiego duchownego od podejrzenia, iż jedynie ulepszenie jego losu staje się przyczyną dotkliwych ciężarów, przygniatających włościanina i drobnego przemysłowca. Podejrzenie takie wpłynęłoby niezawodnie na obniżenie powagi duszpasterza w gminie, podtrzymania której i my sobie przecież życzymy.“

Ponieważ zaś perjod ustawodawczy niebawem się skończy, a rzecz ta przejść musi jeszcze przez Izbę panów, przeto mowca wnosi, aby przedłożenie kongrualne przyszło przed nowellą należytościową na porządek dzienny, a mianowicie, aby postawionem było jako pierwszy punkt obrad następnego posiedzenia.

Hr. Clam-Martinic występuje przeciw powyższemu wnioskowi i zaznacza, że taka drobnostka jak to, czy najpierw nowella należytościowa a następnie przedłożenie kongrualne będzie na porządku dziennym czy też odwrotnie, nie usunie podejrzenia, któremu niektórzy zanadto chętnie dają wiarę. Przeciwnie należy właśnie dla powodów przez dr-a Krausa przytoczonych, zaznaczyć głosowaniem, że Izba należycie rozważy obydwa przedłożenia z uwzględnieniem ich ważności i konieczności. W nowelli należytościowej — są słowa mowcy — konieczne są pewne zmiany; mimo tego uważam ją w zasadzie za ważną i dobrą i będę za nią głosował. Będę również głosował za przedłożeniem kongrualnem, ponieważ uważam za akt sprawiedliwości naprawić obecnie to, co przez długi szereg lat było zaniedbanem“.

Przy głosowaniu przeszedł wniosek dr-a Krausa większością 130 przeciw 126 głosów.

Ponieważ w kołach czeskich skarżono się prywatnie na Koło polskie, które swą liczną absencją spowodowało klęskę prawicy, niech nam będzie wolno zaznaczyć, że brakowało w Izbie także wielu posłów czeskich, a między nimi byli i tacy, którzy umyślnie podczas głosowania się wydalili. Byli to 4 posłowie młodo-czescy, którzy na korytarzu spotkali się z również wstrzymującym się od głosowania p. Lienbacherem. Ta czwórka mogła właśnie szalę zwycięztwa na stronę prawicy przychylić. A więc kwita.

KRONIKA.

Z życia towarzyskiego. *(f)* W pięknie i ze smakiem prawdziwym urządzonych salonach Koła literackiego zgromadził się wczoraj wieczorem komitet balu kostjumowego. Prezes Koła p. Rutowski otworzył posiedzenie krótką przemową, w której zaznaczył myśl, jaką kierował się Wydział Koła lit., biorąc inicjatywę w urządzeniu balu kostjumowego na tle powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“. Po dłuższej dyskusji nad dalszemi sposobami zrealizowania tego projektu przyjęto wniosek pana K. Skrzyńskiego, poparty przez kilku mowców, ażeby wybrać komitet ściślejszy, którego zadaniem będzie działać wspólnie z Wydziałem Koła i wraz z nim utworzyć komitet wykonawczy.

Do komitetu weszli: radca sądu Tchórznicki, Piotr Hubal Dobrzański, St. Niezabitowski, S. Augustynowicz, A. Abrahamowicz, Budzynowski, profesor Janowicz, K. Skrzyński, Szydłowski, Löwenstein, Brykczyński i Hoszowski. Komitet podzielił się następnie na pojedyncze sekcje.

Istnieje już teraz uzasadniona nadzieja, że zamiary komitetu zostaną uwieńczone zupełnem powodzeniem.

Audjencje. Najjaśniejszy Pan udzielił onegdaj posłuchania pomiędzy innymi hr. Wodzickiemu, prezydentowi Izby deputowanych dr. Smolce i radcy legacyjnemu hr. Gołuchowskiemu.

Stowarzyszenie chrześć. kupców. Posiedzenie zarządu tego towarzystwa odbędzie się dziś o godzinie 5. po południu. Na porządku dziennym posiedzenia jest między innemi sprawa domokrąstwa i sprawa ciągłej wyssprzedaży, urządzanej przez przyjezdnych kramarzy.

Reduta na dochód weteranów z r. 1831. odbędzie się nie jutro — jak pierwotnie komitet zamierzał — lecz w przyszłą sobotę dnia 7. lutego. W następną zaś sobotę odbędzie się druga reduta i prawdopodobnie ostatnia w bieżącym karnawale na dochód towarzystwa muzycznego.

Niebezpieczeństwo zagrażało przed kilkoma dniami życiu cesarzewiczowstwa niemieckich. Przechadzali się jak najspokojniej po ogrodzie zoologicznym, gdy niespodzianie nadbiegły w szalonym pędzie spłoszone konie, zaprzężone do karety, i byłyby niewątpliwie stratowały następcę tronu niemieckiego i jego małżonkę, gdyby przytomność umysłu księcia oraz niepospolita siła jego nie zapobiegły groźnemu wypadkowi. Zwrócił się w okamgnieniu i pochwyciwszy ręką cugle, osadził konie na miejscu.

Dodatek literacki do dzisiejszego (26.) numeru *Przeglądu* zawiera: „O przyspieszeniu skupu praw propinacyjnych“, napisał Antoni Wrotnowski; „Dziecię z Urbino“, powiastka Ouidy, tłum. S. G. (Ciąg d.); „Nowa rachuba czasu“; „U kabalarki“ przez Monsoleta; „Z Afryki środkowej“ (C. d.).

Ks. Henryk Kossowski, biskup sereński i sufragan płocki, obrany został przez kapitułę katedralną płocką na administratora tej dyecezji po śp. ks. biskupie Borowskim.

Margrabia Wielopolski podał się — jak donosi *Kurjer poranny* — o uwolnienie od obowiązków prezesa kolei Dąbrowskiej, z powodu, iż świeży ukaz zabrania urzędnikom dworskim pierwszych trzech klas zajmować posady w towarzystwach akcyjnych.

Henryk Sienkiewicz, który od początku jesieni bawił w Meranie, przybył — jak czytamy w *Czasie* — przed kilku dniami do San Remo, gdzie resztę zimy przepędzi.

Mianowania. C. k. Rada szkolna krajowa zamianowała nauczyciela Jerzego Fedewicza rzeczywistym nauczycielem w Orchowicach.

Kolejowe stacje telegraficzne. D. 25. stycznia otwarte zostały stacje kolejowe do powszechnego użytku w następujących miejscowościach: Marcinkowice, Mecina, Pisarzowa, Limanowa, Tymbark, Dobra, Kasina Wielka, Mszana dolna, Zaryte, Chabówka, Jordanów, Osielec, Maków, Sucha, Lachowice, Huciska, Jeleśnia, Friedrichshütte, Żywiec, Węgierska górka, Milówka, Rajcza, Sól, Zwardoń, dalej Skawce, Stryszów, Stronie, Kalwarja, Lencze, Radziszów i Skawina.

Od jutra zaś otwarte zostaną stacje: Chryplin, Tyśmienica, Tłumacz, Oleszów, Niżniów, Korościatyn, Monasterzyska, Jezierzany, Buczacz, Pyszkowce, Dżuryn, Kalinowszczyzna, Czortków, Hadyczkowce, Kopeczyńce, Wasylkowce i Husiatyn.

Od jutra rozpoczyna się nauka w szkole przemysłowo - handlowej o godzinie 9-tej przed południem.

Opłata szkolna została przez Radę miejską zniesioną, nauka więc jest obecnie we wszystkich kursach i oddziałach zupełnie bezpłatną.

P. Klemens Kantecki, konserwator zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, podał się do dymisji z powodu choroby, która już od pół roku zawodowym i naukowym pracom poświęcać mu się nie pozwala.

Piękny wiek. W *Kuryerze poznańskim* czytamy: Temi dniami zmarł w Wojnowicach pod Bukiem emeryt Jan Ciekawski w wieku 104 lat. Ciekawski urodził się we dworze zamku po Opaleńskich w Opalenicy i tamże wychowany został wraz z swoją siostrą wdową Dekier, żyjącą jeszcze w Wojnowicach i liczącą lat 102. Ciekawski brał udział w powstaniu r. 1830 i 1848.

Towarzystwo naukowe akademików Polaków w Lipsku obchodzi dzisiaj uroczyście 25-semestrową rocznicę swego istnienia. Wieczór rozpocznie się wspólną kolacją, poczem nastąpią produkcje wokalno-muzykalne.

Przedstawienie na dochód pani Skalskiej. Na ostatniem posiedzeniu komitetu, zawiązanego celem uzyskania funduszów dla wysłania pani Skalskiej do Włoch, uchwalono urządzić przedstawienie, o ile możności jak najwięcej urozmaicone. Jak się dowiadujemy, w program tego przedstawienia wchodzą: nieznana we Lwowie jednoaktowa komedja Kościelskiego „Prelegent,“ dalej komedja pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego p, t. „Balonem.“ Humoreska sceniczna p. Gustawa Fiszera p. t. „Gucio na polowaniu u Adolfa“ i prolog umyślnie przez jednego z lwowskich literatów do okoliczności napisany. Oprócz tego wystąpi na tem przedstawieniu po raz pierwszy na lwowskiej scenie znana i ceniona w kołach muzykalnych debiutantka p. Pr. Wystąpi ona w duecie z „Wesołej wojny.“

Przedstawienie rzeczone odbędzie się 2. marca i bez wątpienia ma zapewnione powodzenie. Jaką sympatję ma pani Skalska we Lwowie, najlepszy dowód, iż już wczoraj pozamawiano loże parterowe i pierwszego piętra.

Zapiski policyjne. Skradziono: P. E. Z. z otwartej kuchni p. l. 4 ul. Chorążczyzna, niebieską zimową chustkę, dwie pary bucików i suknię z czarnego półsukienka, łącznej wart. 16 złr. — p. M. W. czarną skórkową sakiewkę z kwotą 16 złr. oraz z kartami jazdy koleją ze Lwowa do Kołomyi i na powrót na inne nazwisko opiewającymi.

Zgubił D. H. czarny pularesik z kwotą 3 złr. na ul. Żółkiewskiej a p. M. B. na tutejszym dworcu kolei K. L. swoje wojskowe świadectwo urlopu wydane przez c. k. kraj. komendę żandarmerji we Lwowie.

Znaleziono kartkę zastawniczą Zakładu zast. i kredyt. z dnia 20. października 1884 l. 96235 na 8 koszul i obrus na 4 złr. zastawione.

Magistratowi lwowskiemu przesłała policja kwotę 4 złr. i zastawniczą kartkę tut. Zakładu zast. i kred. z dnia 21. lipca 1284 l. 85990, na 5 nitek korali, za 4 złr. zastawione, znalezione 7. sierpnia 1884 w sieniach tegoż zakładu, ponieważ właściciel tych rzeczy dotąd się po nie niezgłosił.

(=) **Kraków** 29. stycznia. *(Koresp. Przegl.)* Nabożeństwo żałobne za duszę Jana Kilińskiego odbyło się dzisiaj w kościele OO. Dominikanów przy licznem udziale publiczności. Katafal był tym razem skromniej ubrany niźli lat poprzednich.

— Dzień dzisiejszy zaznaczył się niespodzianą śmiercią kilku osób znanych w naszem mieście. W południe zakończyła życie licząc lat 54 Olimpja z Przygodzkich Machalska, żona adwokata krajowego dr. Maksymiljana Machalskiego, znanego w szerokich kołach naszego miasta. Zmarła była to kobieta dobroczynna i należała do licznych tutejszych filantropijnych instytucyj, wspierając je gorliwie i czynnie. Zarząd Towarzystwa Dobroczynności i Towarzystwa św. Wincentego a Paulo traci w niej pracowitego członka.

— Bal towarzystwa strzeleckiego, jaki się wczoraj odbył, stanowił pomyślny wyjątek w szeregu tegorocznych publicznych zabaw; zarówno bowiem pod względem liczby obecnych co do ożywienia tańczących można go nazwać zupełnie udanym. Czysty dochód z balu jest przeznaczony na budowę nowego teatru w Krakowie.

(=) **Kraków** 30. stycznia. (Koresp. *Przegl.)* Niespodziane podniesienie się temperatury zmieniło postać naszego miasta. Przy cieple, które w godzinach południowych dziewięciu stopni Réaumura dochodziło i było przyjemną antytezą poprzednich dość silnych mrozów, stopniały śniegi i lody na ulicach, dachach i na Rudawie. Rynek zaroił się publicznością, która całemi piersiami używała pierwszego powiewu wiosny, zbyt wczesnej niestety, aby można wierzyć w stałe jej zapanowanie. Szkoda tylko, że równocześnie pojawiło nię niemiłe towarzystwo ciepła, wilgoć i błoto, które w jednej chwili okryły Kraków brzydkim płaszczem brudu.

— Śmierć ma obfite żniwo tej zimy. Dziś umarł p. Saturnin Świerzyński, licząc lat 64, należący do starszego pokolenia polskich malarzy, uczeń Stattlera, a który w malarstwie architektonicznem i perspektywicznem zajmował wcale wybitne miejsce. Obok tego byłto człowiek zacny i powszechnie szanowany. W r. 1848. był setnikiem gwardji narodowej, a ostatniemi czasy pisywał wiersze, które ogłosił p. t. „Obrazy z naszej przeszłości“.

— Plakaty, rozlepione na rogach ulic, donoszą o otwarciu „pierwszej taniej kuchni“ w Krakowie. Będzieto instytucja czysto dobroczynna, a funduszu na jej utrzymanie dostarczy kasa Arcybractwa miłosierdzia. Obiady tak na miejscu, jak i do naczyń przyniesionych, będą wydawane po cenie 20 ct. za mięsne i 10 ct. za postne. Ubodzy, wstydzący się żebrać, będą otrzymywali od zarządu Arcybractwa bezpłatnie bilety na obiady, a sposób ten wspierania ludzi potrzebujących jest niewątpliwie najskuteczniejszy i najdelikatniejszy.

Opiekę nad kuchnią objęły Siostry Felicjanki, a poświęcenia lokalu dopełni ks. biskup Dunajewski w sobotę 31. b. m. o godzinie 10. z rana.

— Ostatniemi dniami zdarzyło się kilka wypadków wścieklizny u psów. Onegdaj zabił oprawca zwierzę dotknięte tą chorobą, a dziś znowu policjant w towarzystwie tłumu uliczników i przekupek ze Szczepańskiego placu, gonił wściekłego, a przynajmniej o to podejrzanego psa przez planty.

Polowanie skończyło się szczęśliwie śmiercią niebezpiecznego zwierzęcia.

ROZMAITOŚCI.

— **Jubileusz.** W Warszawie odbyć się ma w pierwszej połowie lutego jubileusz dra Tyrchowskiego, profesora ginekologji w uniwersytecie warszawskim, kończącego w roku bieżącym dwudziestopięciolecie swej lekarskiej działalności.

— **W okolicach Smyrny,** w mieście Tiré, osiadło blisko 30 rodzin żydowskich z Podola. Wśród 18000 dusz ogólnej ludności kolonjalnej mała to jest kropelka. Każda rodzina własny ma domek, lecz obowiązaną jest utrzymywać go w porządku. Ogólna pobożność mieszkańców zwróciła uwagę tureckiego rządu, który zaczął ich krępować. Okoliczność ta stała się powodem, że garstka naszych żydów o kiju żebraczym powróciła do Europy.

— **Ocena aktorki.** Utalentowana artystka francuska, p. Emilja Ambre, wydaje dzieło zatytułowane „La Diva“, w którem pod formą powieści opowiada historję artystki, grającej na największych scenach świata. Poniżej podajemy kilka zdań, jakie autorka wypowiada o publiczności różnych krajów.

„Opinja, którą publiczność wytworzyła sobie o kobiecie w teatrze, daje nam najsprzeczniejsze kontrasty, jeśli je uważać będziemy ze stanowiska różnych stolic. Anglik w wielkiem ma poszanowaniu artystkę, której grę wyróżnia, i nie wybacza jej najmniejszego błędu. Wreszcie potrafi być wyrozumiałym, byle wszystko osłonięte było cieniem i tajemniczością. Czego się nie widzi, tego się nie uważa, a przynajmniej John Bull nie będzie mógł wołać: Schoking! — Niemiec lekceważy prywatne życie artystki, jak lekceważy dobroduszność swoich przodków. Niech śpiewa, później niech za mąż wyjdzie, to mu wystarcza. Jasnowłosa Germanja, ta pepinjera małżonków dla artystek, nie jest zbyt surową w ocenianiu przeszłości cór sztuki. — Włoch, obojętny przez lenistwo, patrzy na artystkę, która, śpiewając pieśń miłości, odgrywa jednocześnie scenę namiętną, co mu nie przeszkadza myśleć o porcji makaronu. Tryumf to materji nad sztuką. — Amerykanin z rozkoszą słucha *ritornelli* przy łagodnem świetle gwiazd, lecz czasu nie ma zdać sobie sprawy z tego, czego słucha. Dla niego wielką artystką jest ta, która najwięcej pobiera dolarów. Człowiek praktyczny rozumie tylko bożka złota i reklamy. — Dla Rosjanina szczytem uznania to frenetyczne oklaski i możność sypania rublami. W kraju tym śmiać się i bawić trzeba czasem trochę, a artystka tem jest przyjemniejszą, im więcej szampana pije. — Co do Francuzów, tych część sądzi, że artystki, to łatwa zdobycz; część przypuszcza, że wolno im być uczciwemi lub nieuczciwemi; że mogą przechodzić różne fazy, w których moralność z niemoralnością stopniowo następują. W każdym razie na życie ich prywatne rzucają gęstą zasłonę. Niech jednak dowiedzą się, że pani X. zachorowała na migrenę w wieczór koncertu na cel dobroczynny, nie przebaczą jej tego nigdy, gdyż artystka przyzwyczaiła publiczność, że może na nią rachować; że zawsze jest gotową, gdy chodzi o chleb dla innych; robić ofiarę z talentu swego, osoby, często nawet kieszeni, jeżeli tylko idzie o wsparcie niedoli bliźniego. Cobądź jednak powiemy, przyznać należy, że Francja jest ziemią obiecaną artystów, a jedno „brawo“ paryskie więcej jest warte, aniżeli sto tysięcy oklasków kosmopolitycznych.“

Choć w tych sylwetkach nic pani Ambre o nas nie wspomniała, kto wie, czy pod wieloma względami w ocenianiu artystek nie zgadzamy się z Francuzami, z tą tylko różnicą, że z wielkim zapasem dobrej wiary uprawiamy kult uwielbienia, przenoszący nieraz o wiele rzeczywistą zasługę.

— **„Lal.“** Pod tym tytułem ukazała się w New-Yorku nowa powieść Hammonda. Rzecz, osnuta na stosunkach polskich w Ameryce, budzi dla nas interes szczególny. Autor oparł się na obserwacjach osoby sobie znanej, która długo przebywała w Detroicie i studjowała przebywające tam kółka polskie. Wprawdzie sylwetki, jak np. Johna Tyscovius'a, nic nie mają wspólnego z naszą kulturą, to przecież dobrze odbijają transformację, której uległ duch ludowy pod wpływem otoczenia obcego. Bohaterka powieści, Teodora, nie odpowiada kobietom naszym, ale też i nie jest im zupełnie obcą. Inne postacie dobrze się dostrajają do całości. Powieść ta już nadeszła do Warszawy i wkrótce ujrzy światło w jednem z czasopism warszawskich.

— **Polscy rysownicy za granicą.** Redakcja londyńskiego ilustrowanego tygodnika *The Graphic* zawarła umowę z kilkoma polskimi rysownikami zamieszkałymi w Warszawie.

W zakres rysunków wchodzą widoki naszych okolic oraz typy krajowe.

— **Wegetarjanie górą.** Ostatnie numera pism angielskich przyniosły wiadomość, iż Pasteur na posiedzeniu przyrodników paryskich podniósł głos w obronie wegetarjanizmu. Uczony przyrodnik i lekarz twierdzi, iż wegetarjanizm zabezpiecza od wielu zakaźnych cierpień, a między innemi od cholery. Uwagę tę w Anglji tak do serca wzięto, że pod Ely otwartą ma być kolonja, celem przeprowadzenia doświadczeń.

— **Dla dam** podaje następujące przepisy zachowania się, wychodząca w stolicy Francji *Vie parisienne:* „Miej pani wejrzenie pewne, pozory zupełnej obojętności, głos łagodny. Mów bez gestów i tak jakbyś nie myślała o tem, co mówisz. Bądź dowcipną ale jakby od niechcenia, mimowoli, natomiast słuchaj zawsze uważnie. Umiej wiele, a pytaj o wszystko; bądź oczytaną, ale cytuj jak najmniej, wiedz o wszystkiem, a zawsze udawaj zdziwioną. Pragnij wszystkiego, a nie proś o nic. Czuj głęboko, a miej twarz marmurową. Spij długo, by nigdy nie być zaspaną. Jedz dużo, by mieć zawsze sił pod dostatkiem. Bądź wesołą, by świeżość piękności zachować. Bądź pobłażliwą, by zyskać sympatję ludzi. Bądź dobroczynną dla własnej przyjemności. Nie rumień się nigdy. Miej wzrok bystry, sąd szybki i nie namyślaj się długo.“

Część ekonomiczna.

Bank Rolniczy we Lwowie podaje następujące sprawozdanie z ruchu na targu zbożowym:

Lwów dnia 30. stycznia 1885.

Dziś notujemy za 100 Kilogr. loco Lwów.

Pszenica gotowa	złr.	7.25	7.90
„ na termina	„	—.—	—.—
Żyto gotowe	„	6.—	6.40
Żyto na termina		—.—	—.—
Owies obroczny	„	6.25	6.50
Jęczmień nowy	„	6.50	8.—
Rzepak		—.—	—.—
Rzepak nowy	„	11.50	12.—
Groch do gotowania	„	7.—	10.—
Groch	„	5.75	6.50
Wyka	„	5.50	6.—
Bobik	„	5.50	6.50
Hreczka	„	7.25	7.75
Kukurudza	„	5.25	6.25
Chmiel za 50 kilo	„	—.—	—.—
Koniczyna czerwona	„	45.—	54.—
„ biała	„	55.—	70.—
„ szwedzka	„	50.—	70.—
Spirytus za 10.000 lt. proc	złr.	26.50	27.—
„ na termina	„ „	—.—	—.—

Uwaga: Bank rolniczy utrzymuje na składzie owies, kartofle stołowe, przyjmuje zamówienia na maszyny rolnicze. Uprasza się P. T. członków producentów koniczyny w drobniejszych parjach, by takową wprost do magazynu Banku rolniczego przysełali, jeżeli chcą takową po cenach targowych zagranicznych mieć sprzedaną.

Zniżenie stopy procentowej w banku angielskim. Bank angielski obniżył dyskont z 5 na 4 proct. W publicznym obiegu spadła stopa procentowa w Londynie już w ciągu ubiegłego tygodnia na 3½ prct., podczas gdy bank—ku wielkiemu niezadowoleniu wpływowych kół City — podtrzymywał jeszcze stopę 5 procentową, wprowadzoną dnia 5 listopada r. z. Podług ostatniego sprawozdania z dnia 21. stycznia wynosił fundusz rezerwowy banku 13,016.462 ft. st. zatem wzrósł od podwyższenia stopy procentowej o 3½ miliona; depozyta wzmogły się o 2·3 miljony, a gotówka również prawie o tyle się podniosła.

Ilość złota wpływającego do kasy bankowej jest bez porównania większą od tej, jaką kasa wydaje. W bieżącym tygodniu rozpoczęło się w obiegu publicznym dalsze spadanie stopy procentowej. W poniedziałek nie mogły już banki londyńskie przewyżek swych nawet na 2 prct. umieścić, a w City wypożyczono znaczną sumę na 2½ prct. Wśród takich okoliczności da się wahanie banku wytłumaczyć jedynie brakiem wiadomości o losie ekspedycji sudańskiej. Gdy przeto obecnie z Sudanu pomyślne nadeszły wiadomości, pospieszył bank odpowiednio do sytuacji i obecnego stanu handlowego z obniżeniem swego dyskontu. Zresztą 4 procentowa rata bankowa nie jest przy końcu stycznia anormalną. W ciągu lat ostatnich obniżał zwykle bank angielski o tej porze swój dyskont. I tak dnia 23. stycznia 1884 r. na 3 prct., dnia 24. stycznia 1883 r. na 4 prct., a tylko dnia 25. stycznia 1882 r. pozostała ona na wysokości 5 prct. W roku zeszłym obniżono już d. 2. stycznia ratę bankową na 3 prct., a 6. lutego podwyższono ją znowu na 3½ prct.

Wiedeń 29. stycznia.

(Di.) Wszelkie inne wpływy i racje ustąpiły dzisiaj przed wiadomością, że nowela o należytościach, która dotyka kapitał ruchomy, obroty giełdowe, stoi na porządku dziennym obrad rady państwa. Nie jestto niespodzianka; nowela to jedno dalsze, konieczne ogniwo w projektach finansowych p. Dunajewskiego, dawno już była dojrzałą; niemniej giełda, a raczej spekulacja, została tą wiadomością, jak brzmi termin giełdowy, zirytowaną.

Dlatego reakcja, na całej linji zniżka, nieznaczna, ale ogólna. Jestto irytacja lokalna i chwilowa, która zatem ustąpi, i byle ważniejsze powody nie przeszkodziły, musi tendencja silna i zwyżkowa odzyskać przewagę.

I zbożowy targ słabszy, popyt monetarny mniejszy, a notowanie z Nowego Jorku i Londynu gorsze. Obroty minimalne,

Urzędownie notowano: Pszenica wiosenna 8.55 do 8.60, na lato 8.63 do 8.68, jesienna 9.05 do 9.10, żyto wiosenne 7.37 do 7.40, na lato 7.45 do 7.50, jesienne 7.60 do 7.65, kukurudza na lato 6.20 do 6.42, owies wiosenny 7.18, do 7.23, na lato 7.27 do 7.32, jesienny 6.85 do 6.90, rzepak jesienny 13.40 do 13. 50.

Spirytus 27.50 do 27.75. Nafta galic., marka Skrzyński, Nr. 0 24.25 do 24.50, Nr. 00 26.50 do 27.

Na targ bydła mocny spęd, ceny słabsze. 3 425 cieląt, 4.300 świń, 874 jagniąt.

Płacono cielęta 36—44, prima do 54, świnie 40—45, prosięta 32—38 c., jagnięta 5—12 za parę.

Na targu owiec spęd 5.312, ceny spadły o 1 złr na parze w skutek złego targu w Paryżu. Płacono 27—28 c. za klg. żywej wagi, eksportowe 20—29½ złr. za parę, albo 44—50 za klg., prima 48—60.

Depesza, że bank angielski zniżył stopę procentową z 5 na 4, spowodowała wieczorem małą reprizę na giełdzie.

Ostatnie wiadomości.

W Nrze 23. *Przeglądu* donieśliśmy czytelnikom, iż angielski poseł w Atenach, Nicholson, wyszedłszy na spacer za miasto, został przez żandarma niesłusznie poturbowany. Dla dania satysfakcji obrażonemu dyplomacie, wydał rząd polecenie, aby cała żandarmerja zgromadziła się na placu konstytucyjnym, a po odbytej defiladzie otrzymała ostrą naganę za wyrządzoną obcemu posłowi obelgę. Żandarm, który się dopuścił tego nadużycia, został skazany na dwa miesiące więzienia i wydalony ze służby.

Z tego powodu wniesiono w Izbie interpelacją, która, jak nam dzisieszy telegram donosi wywołała burzliwą debatę. Opozycja upatrywała w skarceniu żandarmerji obrazę całej armji greckiej i potępiła zbyt surowe postępowanie władz.

Po długiej debacie przyjęto zwykły porządek dzienny znaczną większością głosów.

Telegramy biura korespondencyjnego.

Wiedeń 31. stycznia. W Izbie posłów odbywała się wczoraj debata nad sprawą kongruy. Tak mowcy z prawicy jak i z lewicy oświadczają się za przedłożeniem, atoli członkowie lewicy zwracają się przeciw poszczególnym postanowieniom projektu. Minister oświaty wyraża swoje zadowolenie z powodu jednomyślności Izby względem przedłożenia; także episkopat nie zajął stanowiska nieprzychylnego sprawie a i zarząd finansów oświadczył się za koniecznością projektu. Jednak państwo nie może brać na siebie wszystkich przez komisję proponowonych ciężarów, lecz musi raczej starać się o to, aby wymagania wzrastały stopniowo tak, żeby w pewnym szeregu lat doszło do skutku polepszenie jakiego domagają się wnioski komisji. Główną zasadę ustawy stanowi ustalenie dochodów duchowieństwa, przez co musi być uzyskana podstawa dla kongruy, a tem samem dla świadczeń zarządu państwa.

Względem kwestji rezolucyj nie zajmuje rząd żadnego stanowiska, bo sprawa funduszu religijnego nie może doprowadzić do należytego załatwienia kwestji, o którą tu chodzi. Z episkopatem zawarto również ugodę (oklaski). Wojnovic stawia wniosek, aby wezwać rząd do wniesienia podobnego przedłożenia dla grecko wschodniego kleru Dalmacji. Następnie uchwalono zamknięcie dyskusji i wybrano mowcami generalnymi Clama i Kraussa. Podczas całego posiedzenia była loża dziennikarska zupełnie pusta.

Wiedeń 31. stycznia. *Pol. Corr.* twierdzi na podstawie autentycznych informacyj, że doniesienie o wrzekomo toczących się rokowaniach z Rosją, w celu zawarcia układu o wydawaniu zbrodniarzy, jest bezpodstawne.

Berlin 31. stycznia. Uchwalona przez komisją konferencji w sprawie Kongo deklaracja, ażeby każde państwo przywłaszczające sobie jaki obszar w Afryce, zawiadomiło natychmiast o tem wszystkie inne mocarstwa, a to dla tego, aby dać im możność wniesienie ewentualnych reklamacyj. Na podstawie tej deklaracji biorą na się mocarstwa podpisane zobowiązanie użycia całej swej powagi dla ochrony handlu i wolności pobytu w obszarach zajętych.

Ateny 31. stycznia. Po nader ożywionej debacie nad interpelacją wniesioną z powodu satysfakcji, danej poselstwu angielskiemu, przyjęła Izba 113 głosami przeciw 19 zwykły porządek dzienny. Wielu członków opozycji uchyliło się od głosowania.

Praga 31. stycznia. Przy wyborach do budziszyńskiej Izby handlowej zyskali Czesi większość, w skutek czego zasiadać będzie odtąd w Izbie 22 Czechów i 2 Niemców.

Berlin 31. stycznia. Na porządku dziennym dzisiejszego posiedzenia Rady Związkowej postawiono oprócz nowelli do taryfy cłowej, także przedłożenie odnoszące się do zawartej konwencji między rządem a Rosją w sprawie wydawania przestępców.

Berlin 31. stycznia. W komisji dla subwencjonowania parowców odrzucono w drugiem czytaniu 14 głosami przeciw 7, cały projekt ustawy. Przyjęto tylko pierwszy paragraf, zezwalający jedynie na subwencjonowanie linji wschodnio-azjatyckiej z wykluczeniem linij australskiej i afrykańskiej.

W końcowem wotowaniu głosowali zgodnie konserwatyści, nacjonal-liberalni i jeden członek z centrum z wolnomyślnymi przeciwko projektowi, a to z powodu, iż sama linja wschodnio-azjatycka nie wystarczy, a nie pragnęliby również dopuścić do ograniczenia jej ogólnikową uchwałę.

Petersburg 31. stycznia. Rząd postanowił postawić duchownych katolickich, którzy udzielają nauki religii w gubernjach północno- i południowo-zachodnich, na równi z innymi nauczycielami. Cesarz zatwierdził uchwałę Rady państwa, dotyczącą wyposażenia pięciu nowo założyć się mających cerkwi prawosławnych w eparchji ryżskiej.

Budapeszt 31. stycznia. Posiedzenie sejmu węgierskiego. Przy sposobności obrad nad budżetem ministerstwa obrony krajowej zabrał głos minister tej obrony i karcąc nieprzychylne wyrażenia się niektórych posłów o wspólnej armji, odparł je wśród objawów ogólnego zadowolenia prawicy. Poczem podniósł gorliwość armji w wypełnianiu jej obowiązków i poświęcenia jej przy każdej nadarzającej się sposobności.

Bern 31. stycznia. Rada związkowa otrzymała z pewnego miasta szwajcarskiego list z doniesieniem, że pałac związku zostanie wkrótce wysadzony w powietrze. Zarządzono liczne środki ostrożności.

Londyn 31. stycznia. Biuro Reutera donosi: Zarząd muzeum brytyjskiego otrzymał uwiadomienie o zamierzonym przeciw temu zakładowi zamachu dynamitowym. Bezzwłocznie otoczono cały gmach policją i zarządzono wszelkie środki ostrożności.

Nowy York 31. stycznia. W Saint-Louis przyaresztowały władze jakieś indywiduum udające się do Londynu, jako podejrzane o udział w zamachach, dokonanych w roku zeszłym na publiczne gmachy w Londynie.

Telegramy „Przeglądu“

na własnym drucie.

Wiedeń 31. stycznia. Wszyscy austrjaccy i zagraniczni dziennikarze, z wyjątkiem współpracowników *Vaterlandu*, usunęli się z parlamentu. Żaden dziennik nie będzie odtąd podawał sprawozdań z Izby, dopóki Smolka nie cofnie zakazu, mocą którego został zamknięty dla dziennikarzy wstęp na kurytarze Izby.

Wiedeń 31. stycznia. Pomimo zupełnego zadośćuczynienia, jakie dał dziennikarzom prezydent Smolka karcąc Schoenerera, nie podał żaden z wczorajszych wieczornych dzienników ani słowa o posiedzeniu parlamentu. Dzisiaj oświadczają tak sprzyjające rządowi jak i opozycyjne dzienniki, że odtąd będą donosiły tylko o ważniejszych uchwałach Rady państwa, od szczegółowych zaś sprawozdań, jakie pierwej podawano, wstrzymają się dopóty, dopóki nie zostanie usunięte odosobnienie dziennikarzy od posłów. Obie loże dziennikarskie były podczas wczorajszego posiedzenia zupełnie próżne.

Wiedeń 31. stycznia. Omawiając doniesienie z Wiednia do *Czasu*, jakoby między Austrją i Rosją miały się zacząć rokowania co do wydawania zbrodniarzy, przyczem wrzekomo obawiać się należy opozycji Węgier, dodaje *Pol. Corr.* od siebie uwagę: „Na podstawie autentycznych informacyj możemy śmiało powiedzieć, że powyższe doniesienie *Czasu* nie ma najmniejszej podstawy.“

Wiedeń 31. stycznia. Wczoraj odbyło się posiedzenie Rady zawiadowczej kolei Lwowsko-Czerniowieckiej. Na posiedzeniu tem zdawali z jednej strony sprawę ze skutków swej misji delegaci, którzy przez Radę byli wysłani do Londynu, z drugiej zaś strony dano instrukcję tym reprezentantom Towarzystwa, którym przypadły w udziale rokowania w Bukareszcie i którzy niebawem znowu się tam udadzą.

Petersburg 31. stycznia. Sankcjonowany przez cesarza ukaz, mocą którego wolno do Rosji wprowadzać bez opłaty cła rasowe gatunki świń, dla polepszenia rosyjskiej trzody, wywołał w sferach ziemiańskich wielkie zadowolnienie. Dzienniki notują ten fakt.

Berlin 31. stycznia. Podług doniesień z Nowego Yorku, powitał Most w organie swym *Wolność* z wielką radością wiadomość o zamordowaniu Rumpfa i oświadczył, że zbrodnia dokonaną została z pomocą pewnego emissarjusza anarchistycznego, który jeszcze w listopadzie z. r. odpłynął był z Ameryki.

U krewnych Juljusza Lieskiego w Zossen znaleziono listy jego, pisane z Szwajcarji, z których wynika, że Lieske pracował dłuższy czas w Altdorf w Szwajcarji. Lieske nie był dotąd nigdy karany.

Berlin 31. stycznia. Ostateczne zakończenie konferencji w sprawie Kongo nastąpi we wtorek.

Stanley kończy tutaj dzieło swoje o Kongo. Do berlińskiego *Tagblattu* donoszą z Zanzibaru, że Rohlfs wręczył sułtanowi na uroczystej audjencji swoje pismo uwierzytelniające, jako pełnomocnik Niemiec.

Kijów 31. stycznia. Gubernjalny inspektorat szkół. zakazał okólnikiem wszystkim szkołom i zakładom wychowawczym gubernji kijowskiej prenumerować tygodnik *Ruś*, wydawany w Moskwie przez Aksakowa.

Odessa 31. stycznia. Liczne grono kapitalistów, z bankierem Rodokonaki na czele, zakłada tu spółkę akcyjną, mającą na celu rektyfikować spiritus rosyjski i ułatwić mu eksport za granicę. Myśl tego eksportu powstała w Rydze w kołach inflanckich właścicieli gorzelń. Chcąc zapewnić odbyt swoim wyrobom, wysłali oni kilku rzeczoznawców do Francji i Hiszpanji dla zbadania tamecznych targów spirytusowych. Rezultat tych badań był nadspodziewanie pomyślny, okazało się bowiem, że Rosja nietylko z Węgrami, ale nawet z miejscowemi, francuskiemi i hiszpańskiemi gorzelniami, może skuteczną prowadzić konkurencją. Zawarto więc kontrakta terminowe, i już kilka partyj spiritusu wysłano do Brestu, Hawru i Bordeaux. Za przykładem Rygi idzie teraz Odessa, a eksport spirytusu, którego u nas dotąd nie znano, stanie się wkrótce faktem dokonanym.

Berlin 31. stycznia. Do socjalistycznego projektu o ochronie robotników dodana jest rezolucja wzywająca ks. Bismarka, ażeby zwołał konferencję międzynarodową, któraby się miała zastanowić nad dziesięciogodzinnym normalnym dniem pracy, nad zakazem pracy nocnej i zakazem zatrudnienia dzieci poniżej lat 14.

Rzym 31. stycznia. Włoska ekspedycja wyruszyła dziś do Suakimu. Komendant jej powiózł zapieczętowany rozkaz, który otworzy dopiero na pełnem morzu.

Berlin 31. stycznia. Kilkotysiączne tłumy oblęgały wczoraj pałac cesarski, aby być świadkami pierwszego wyjazdu cesarza po kilkodniowej słabości. Cesarz wyglądał bardzo dobrze i okazywał wielkie wzruszenie z powodu nieustających owacyj publiczności. Przy powrocie do zamku powtórzyły się te same objawy sympatji i przywiązania.

Berlin 31. stycznia. *Kreuzztg.* przestrzega Włochy przed awanturniczą polityką kolonialną i naruszeniem praw Turcji, która lekkomyślnie traktowaną bywa, jak państwo nie mające zwierzchnika. Zajęcie Bejlulu dotyka Portę i Egipt, zajęcie Massauahs'u dotyka także Abissynję.

Frankfurt 31. stycznia. Wszyscy urzędnicy tutejszego sądu karnego zostali uzbrojeni w rewolwery.

Rzym 31. stycznia. Porta założyła protest przeciw objęciu w posiadanie Bejlulu przez Włochy.

Ruch pociągów.

Ze Lwowa odchodzą:

Do Krakowa	*10.46	4.04	6.35	5. 3	—
Do Podwołoczysk	10.27	*5.56	—	12.21	—
„ (z Podzamcza)	10.57	—	*6.06	12.57	—
Do Czerniowiec	—	11.10	*6·30	12.15	—
Do Stryja	7.10	—	7.50	11.44	—

Do Lwowa przychodzą:

Z Krakowa	9.27	*5.36	11.33	—	—
Z Podwołoczysk	*10.26	3.05	—	4.10	—
(na Podzamcze)	*10.13	2.28	—	3.42	—
Z Czerniowiec	*10.06	3.35	—	3.52	—
Ze Stryja	8.32	—	8.20	10.56	—

Z Krakowa odchodzą:

Do Lwowa	*9.13	10.49	10.46	—	—
Do Wiednia	5.40	*6.55	9.30	3.00	—
Do Prus	5.40	*6.55	7.55	9.30	—

Do Krakowa przychodzą:

Ze Lwowa	5.10	—	*6.48	2.33	—
Z Wiednia	*8.30	9.42	7.22	9.45	3.15
Z Warszawy	*8.30	—	—	9.45	5.27
Z Prus	*8.30	9.42	—	—	3.15

* Gwiazdką są oznaczone pociągi pośpieszne. W obwódkach czarnych [ ] są godziny nocne, to jest od szóstej wieczór do szóstej rano.

Telegramy zbożowe dnia 30. stycznia.

Peszt pszenica wiosenna 8.24—26. *Berlin* spirytus 43·50, olej rzepakowy 52·30, *Paryż* mąka 46·10. *Wiedeń* pszen. 8·50—75, spiryt. 27·75—28.

Wiedeński kurs urzędowy

dnia 30. stycznia 1885 r.

Renta pap. aust.	83·55	Akcje banku kr.	304·70
„ srebrna „	84·20	Weks. na Lond.	123·75
„ złota „	106·85	Dukaty	5·80
Losy z r. 1860	98·85	Napoleondory	9·77
Ak. b. aus.-węg.	867 —	Marki niemiec.	60·35

Kurs giełdy wiedeńskiej.

Wiedeń, dnia 31. stycznia 1885

godzina 1 minut 45 po południu.

Alpiny	48.—	Węg. akcje kr.	314·25
Anglo-austr.	105·50	Unionsbank	81·50
Kolej Kar. Lud.	267·75	Nordbahn	253·—
Kolej połud.	146.—	Kolej Alföld.	186·25
Kolej państw.	305·30	Kolej lw.-czern.	216·—
Węg. Nordostb.	176 50	Wied. Comunal	125·75
Węg. obl. p. zł.	107·25	Elbetal	180·75
Węg. cis. losy r.	118·10	Losy tureckie	22·—
Renta węg. 4%	98·20	Bankverein	104·70
Ros. rubel pap.	1·29¾	Losy węgierskie	119·75
Galic. indemn.	101·—	Marki niemiec.	—·—

Usposobienie: słabsze.

godzina 10 minut 30 przed południem.

Akcje kredyt	304·70	Anglo-austr.	105·25
Kolej Kar. Lud.	267·20	Kolej połudn.	145·50
Unionsbank	81·—	Napoleondor	9·77
Rosyjs. bankn.	1·29¼	Usposobienie: stałe.	

Wiedeń 30. stycznia godzina 5. minut 30.

Akcje kred.	304·50.	Papierowa renta	83·55
Akcje Kar. Ludw.	266·60.	Listy hypoteczne.	101·—

Paryż 30. stycznia. Renta 3% 79·92.

Berlin, dnia 30. stycznia 1885

godzina 5 minut 30 po południu.

Rosyjsk. bankn.	214·65	Akcje kredyt.	519.50
Lombardy	243·—	Galicyjskie	110.40
Pożyczka wsch.	65·35	Austr. bank.	165.70

Kurs pieniędzy i papierów publicznych.

Wiedeń 30. Stycznia.

	płacą	żądają
4²/₅% Renta papierowa austr.	83 05	83 25
4²/₅% „ srebrna „	83 85	84 —
4% „ złota „	106 25	106 75
5% „ papierowa (marcowa)	98 55	98 75
4% „ złota węgierska	97 80	97 95
5% „ papier. węgierska	94 15	94 20
4½% Ostbahnowe obligi	98 50	98 80
5% Obligi pożyczki kolej. węgier.	— —	— —
3⁸/₁₀% Losy z r. 1854 po 250 m. k.	126 50	127 —
4% „ „ 1860 „ 500 złr.	138 —	138 40
4% „ „ 1860 „ 100 „	142 50	143 —
„ „ 1864 „ 100 „	173 50	174 —
„ „ 1864 „ 50 „	171 50	172 50
Losy Como-Renten za sztukę	43 —	45 —
Bukowińskie oblig. ind. 10% podat.	101 50	102 —
Galicyjskie „ „ „ „	101 50	102 —
Akcje bankowe.		
Anglo-austrjackiego Banku 200 złr.	105 —	105 50
Boden-Credit austrjacki . 200 „	230 —	230 50
Credit-Anst. dla han. i prz. 160 „	303 10	303 60
„ Bank węgierski . 200 „	313 50	314 —
Depositen-Bank . 200 „	203 50	204 —
Escompt Gesell. niż. astr. 500 „	610 —	615 —
Länderbank . 200 „	101 —	101 25
Austr.węg. Banku . 600 „	868 —	87 —
Unionbank . 100 „	80 80	81 20
Verkehrsbank ogólny . 140 „	146 50	147 —
Wied. Bankverein . 100 „	103 60	104 —
Akcje kolejowe.		
Albrechta . 200 złr. bez%	— —	— —
Alföld-Fiume . 200 „ 5%	184 75	185 25
Donau-Dampfs.-Ges. 525 „ „	524 —	525 —
Elżbiety . 210 „ „	236 75	237 25
Linz-Budweis . 200 „ „	208 75	209 20
Salzburg-Tyrol . 200 „ „	200 —	201 —
Ferdynanda-Nordb. 1050 „ „	2470	2475
Franciszka Józefa . 200 „ „	209 50	210 —
Gal. Karola Ludwika 210 „ „	265 75	266 25
Koszycko-Oderberg 200 „ 4%	153 75	154 25
Lwowsko-Czer.Jaska 200 „ 5%	209 30	209 60
Nordowest austr. . 200 „ „	172 50	173 —
„ Elbethal Lit.B. 200 „ „	176 50	177 —
Rudolfa. . 200 złr. 5%	185 75	186 —
Siedmiogrodzka I. . 200 „ „	183 25	183 75
Staats-Eisenb.Ges. . 200 „ „	304 —	304 25
Südbahn (Lombardy) 200 „ „	145 50	146 —
Theisbahn (Cisańska) 200 „	249 25	249 75
Węg. gal. Łupkow . 200 „	179 90	180 30
„ Nord-Ost . 200 „ „	175 50	176 —
„ Westbahn . 200 „ „	177 —	177 50
Listy zastawne.		
4½% Banku krajowego	91 25	91 75
4½% Bod. Cred. allg. złotem płat.	122 65	123 —
4½% „ „ „ papier. 50 lat	98 —	98 25
3% prem. Bod. Credit. allg.	97 —	97 50
6% Zakł. kred. krakowsk. 18 lat	99 50	100 —
7% Listy dłużne „ 20 lat	100 —	101 —
6% Zakł. kred. krak. . 36 lat	99 50	100 —
5½% „ „ „ srebr. 36 lat	— —	— —
4% Gal. Tow. kred. ziem.	91 50	92 50
5% „ „ „ „ nowe 37 lat	99 75	100 25
4% „ „ „ „ „ 41 lat	87 50	— -
6% „ Bank hipot. lwowski	101 —	102 —
5% „ „ „ „ prem.	98 50	99 —
5% „ „ „ „ 40 lat	97 25	97 75
5% Bank austr. węg. (Nation.) w. a.	102 50	102 70
5% Szląs. aust. Bod.-Credit-Anstalt	101 —	101 50
5½% Węg. Instyt. Bod.-Credit	102 —	103 —
4% „ Bank Hip. prem.	101 —	— -
Priorytety kolejowe.		
Albrechta . 300 złr. 5%	99 75	100 —
Alföld-Fiume . 200 „ „	100 40	100 70
„ „ Em. 1874 200 „ „	99 75	100 —
Donau-Dampfs. 100 200 „ 6%	109 75	— —
Elżbiety za 200 Mrk. opod.	112 —	112 25
„ za 200 Mrk. nie opod.	118 70	119 —
Ferdyn. Nordb. m. kon. 5%	105 50	106 -
„ Mor.-Szląz. linia 1871/2 5%	105 —	105 50
„ poż. 1876 r. 100 złr. 5%	106 25	— —
Franc. Józef Em. 1884 . 4%	90 90	91 20
Gal.-Karol.-Lud. 1881 300 złr. 4½	100 10	100 40
„ Jarosław 300 „ „	99 25	99 75
Koszycko-Oderb. . 200 „ 5%	100 40	100 80
4% Lwów-Czern. Em. 1884 (10%p.)	82 40	82 70
4% „ „ 1884 (wolne od p.)	88 —	88 50
Nordwestb. austr. . 200 złr. 5%	103 40	103 70
„ Lit.B. 200 „ „	102 80	103 20
Nordwb. austr. Em. 1874 200 m. 5%	126 50	— —
Rudolfa z 1884 r. . 100 złr. „	87 40	87 70
„ Salzkam. gut. zł. 200 m. „	116 50	117 —
Siedmiogrodzkiej I . 200 złr. „	99 60	99 90
Staatseisenbahn . 500 fr. 3%	192 50	193 50
Südbahn (Lombardy) 500 fr. 3%	149 75	150 50
„ „ 200 złr. 5%	125 50	126 —
Theissb.-Gesell. . 1000 „ „	105 10	105 50
Węg. gal. Łupkow. . 200 „ „	99 90	100 20
„ „ II Em. 200 „ „	99 75	100 —
„ Nordost . 300 „ „	99 20	99 60
„ „ złotem . 200 „ „	122 —	— —
„ Westbahn . 200 „ „	99 70	100 —
„ „ Em. 1874 200 „ „	99 70	100 —
Losy.		
4% Donau Regul. . złr. 100	114 —	115 —
Premiowe Wiedeńskie . „ 100	125 —	125 50
„ Węgierskie . „ 100	115 —	115 50
3% „ Tureckie . fr. 400	21 25	21 50
Kredytowe . złr. 100	176 75	177 25
Clary . „ 40	42 —	42 50
4% Donau-Dampfsch. „ 105	114 —	115 —
Insbrucku . „ 20	17 50	18 —
Keglewicha . „ 10	19 —	— —
Krakowskie . „ 20	17 —	17 25
Ofner (miasta Budy) . „ 40	44 75	— —
Palfy . „ 40	37 75	38 25
Rudolfa . „ 10	19 50	20 —
Salma . „ 40	54 —	54 75
Salzburgskie . „ 20	22 —	22 50
St. Genois . „ 40	51 —	51 50
Stanisławowskie . „ 20	23 50	24 50
4½% Tryesteńskie . „ 100	130 —	131 50
4% „ . „ 50	67 —	69 —
Waldsteina . „ 20	28 75	29 25
Windischgrätza . „ 20	37 —	37 50
Cisańskie .	116 80	117 20
Czerw. krzyża .	14 —	14 30
Węg. Czerw. Kryża .	8 25	8 50
Serbskie .	30 20	30 70

Warszawa 30. Stycznia.

	płacą rb. kp.	żądają rb. kp.
5% Listy zastawne nowe 1869 r.	— —	95 25
kupon	— —	— 9½
4% Listy likwidacyjne	— —	87 45
kupon	— —	— 30

Lwów. Z Izby handlowej. 31. stycznia 1885.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	265 —	268 —
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	208 —	211 —
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	278 50	285 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	237 —	242 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Tow. kred. galic. 5 prc. w. a.	99 40	100 40
„ „ „ 4 „ „	91 50	92 75
„ „ „ 5 „ okres.	99 40	100 40
„ „ „ 4 „ „	87 25	88 25
Banku krajowego 4½% w. a.	91 —	92 —
„ hyp. galic. 6 „ „	101 —	102 —
„ „ „ 5 „ „	96 75	97 75
„ „ „ 5 „ z 10% prm.	98 65	99 65
3i Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	58 —	60 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	58 —	60 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	101 —	102 —
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	96 75	97 75
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	102 75	104 —
„ „ „ 1883 4½% „	90 60	91 60
5. Losy,		
Losy miasta Krakowa	16 50	18 50
„ „ Stanisławowa	22 50	24 50
6. Monety.		
Dukat holenderski	5·71	5·81
Dukat cesarski	5·75	5·85
Półimperjał rosyjski	10·—	10·12
Rubel rosyjski srebrny	1·54	1·64
„ „ papierowy	1·28½	1·30½
100 marek niemieckich	60·10	60·80

Teatr i widowiska.

Teatr hr. Skarbka:

Dzisiaj w Sobotę: *Żydówka.*
Jutro popołudniu: *Optymiści.*
„ wieczorem: *Cyrulik Sewilski.*
W Poniedziałek popołudniu: *Pierścień rodzinny.*
„ wieczorem: *Dziewica Orleańska*, tragedja w 5ciu aktach Fryderyka Szyllera tłum. Odyniec.
We Wtorek: *Trubadur.*

Muzeum zakładu narodowego Ossolińskich od godziny 10 do 1 codziennie; po południu zaś od 3 do 5 we wtorek i piątek. Wstęp wolny.

Muzeum imienia Dzieduszyckich otwarte w niedzielę od godziny 10 do 1, w środę i sobotę od godziny 11 do 3.

Papier z fabryki Braci Fiałkowskich & Twerdy w Bielsku i w Białej.

Z drukarni K. Pillera i Spółki.

Dodatek literacki do Nr. 26 „Przeglądu"

O przyspieszeniu skupu praw propinacyjnych.

napisał

Antoni Wrotnowski.

Na kilka dni przed zamknięciem posiedzeń sejmowych w roku zeszłym (1884), poseł Merunowicz rozesłał wszystkim członkom Sejmu. pismo, noszące tytuł: *List otwarty do właścicieli prawa propinacji zasiadających w Sejmie krajowym.* Wyraźnie zaznaczywszy iż jako „poseł włościański" występuje pod hasłem obowiązku obywatelskiego, nakazującego mu podejmować wszelkie usilowania, skierowane ku „utrzymaniu harmonii między dworem a chatą włościańską" (str. 17) poseł Merunowicz podnosi sprawę natychmiastowego zniesienia propinacji w drodze jej wykupu przez fundusz krajowy.

Ze względu na powyższe hasło i na ważność przedmiotu, wypada to pismo wziąść pod ściślejszy rozbiór, a tem samem ogółowi krajowemu ułatwić wyrzeczenie ostatniego w tej kwestji słowa.

„W uczciwej intencji pismo to ku łaskawemu rozważeniu przedkładam", — wyrazy, któremi poseł Merunowicz pismo swe zakończył, a których szczerości nikt bezwątpienia nie podda w wątpliwość, — a zwłaszcza, stanowisko bezwarunkowego poszanowania praw nabytych, wyraźnie przezeń zajęte i poparte zapewnieniem, że „nigdy nieprzyłożyłby ręki do ich pokrzywdzenia", (str. 5) acz zasługujące na bezwzględne uznanie, — nie są wprawdzie zdolnemi błędnych pomysłów ekonomicznych i finansowych zasłonić przed krytyką, — wkładają przecież obowiązek, aby ona nie wychodziła z granic umiarkowania.

Nie mamy zresztą zamiaru krytykować *pour l' amour de l' art*, lecz jednocześnie z uwydatnieniem błędów kombinacji finansowej, przez posla Merunowicza projektowanej. pragniemy zbadać, czy i w jakim sposobie myśl przezeń podniesiona mogłaby zostać spożytkowaną.

I.

Prawo propinacji wiejskiej było zawsze otaczane pewną drastycznością, w wysokim stopniu drażniącą nerwy ogółu. — Drastyczność tę wywoływała zaś nie sama istota, nie sama treść rzeczonego prawa, ale ścisłe jego połączenie z innemi prawami i z innemi stosunkami, które na społeczny i polityczny ustrój narodu przez długi szereg lat nie przestawały oddziaływać bardzo szkodliwie.

Istotą, treścią i ostatecznym wyrazem propinacji wiejskiej, jest prawo rozsprzedawania *en detail* piwa i wódki, — a więc handel, nieróżniący się od każdego innego handlu detalicznego, prowadzonego wyrobami krajowemi. Ani pojęcie o tem prawie, ani korzyść pieniężna z rozsprzedaży trunków wynikająca, niebyłyby jeszcze dostarczały podstawy do surowego o niem sądu. Powodem usprawiedliwiającym nieprzychylne zapatrywanie ogółu, nie był przedmiot prawa, ale przymiot jego posiadaczy. Przez długi bowiem przeciąg czasu, wchodziło ono w skład tych praw, które przysługując wyłącznie jednemu stanowi szlacheckiemu, nosiły na sobie cechę przywilejów kastowych. Tylko szlachcic mógł posiadać dobra ziemskie; prawo propinacji stanowiło zaś *accessorium* tego posiadania. Skutkiem czego prawo to nie będąc samoistnem musiało podlegać wszystkim zarzutom, słusznie podnoszonym przeciw wyłączaniu innych warstw społecznych od władania majątkami ziemskiemi, i niezawiśle od posiadania majątku ziemskiego do rąk tychże warstw przechodzić wtedy nie mogło, co znowu utrzymywało w całej sile cechę kastową wzmiankowanego przywileju.

Z chwilą dopuszczenia wszystkich warstw społecznych do nabywania i posiadania dóbr ziemskich, a chwila ta jest od nas bardzo odległą, znikła owa cecha będąca powodem nieprzychylnych dla prawa propinacji wiejskiej usposobień ogółu; nie mogły one przecież uledz jednocześnie odpowiedniej zmianie, gdyż inny stosunek jeszcze stał temu na przeszkodzie. Stosunkiem tym była pańszczyzna, z którą rzeczone prawo propinacji było do pewnego stopnia połączonem. W skutek tego połączenia, wszystkie, a bez zaprzeczenia ważne i uzasadnione zarzuty, podnoszone przeciw istnieniu pańszczyzny, ogarniały zarazem prawo propinacji wiejskiej; ono bowiem jeszcze nie mogło stanąć wtedy samoistnie, jako przedmiot należący wyłącznie do dziedziny ekonomicznej i prawniczej.

Zapatrywania ogółu na prawo propinacji wiejskiej straciły więc swą podstawę dopiero z chwilą zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia włościan, skoro dopiero wtedy zerwaną została owa nić, łącząca dawniej to prawo ze stosunkami, noszącemi cechę bądź polityczną, bądź społeczną. Włościanin, od wszelkiej zależności względem dworu stanowczo zwolniony, stał się panem swej woli, mogącym kupować napoje albo w szynku dworskim, albo tam gdzie mu się spodoba; samo zaś prawo do utrzymywania tego szynku, a więc do prowadzenia procederu handlowego, będące przedmiotem bezwątpienia ważnym dla ekonomii kraju, nie mogło już nosić na sobie cechy ani politycznej, ani społecznej, i już pod żadnym względem nie usprawiedliwiało tej drastyczności zapatrywań, jaka poprzednio mogła słusznie drażnić nerwy całego społeczeństwa krajowego.

Przeszłość przekazała teraźniejszości nie małą liczbę służebności prawnych, połączonych z posiadaniem nieruchomości miejskich, a miedzy służebnościami spotkać się można nawet z prawem do utrzymywania na zawsze i prowadzenia szynku miejskiego [1]). Istnienie takich praw nie zwraca przecież na siebie uwagi ogółu krajowego, a płynące z nich stosunki są oceniane i urządzane na podstawie prawodawstwa ogólnego; — dla ogółu bowiem jest rzeczą obojętną, do czyjej kieszeni wpływa korzyść pieniężna, połączona z istnieniem bądź szynku, bądź innego prawa, byleby ono nie mogło wyłamywać się z pod ustaw i rozporządzeń krajowych, mających na widoku hygienę lub moralność publiczną.

Z chwilą zniesienia pańszczyzny, prawo propinacyi wiejskiej nadawało posiadaczowi przywilej wyłącznej fabrykacyi trunków, i tytuł prawny do wyłącznego ich wyszynku. Pierwszy przywilej nie miał już żadnej racyi bytu i żadnej podstawy; — należało go więc znieść doraźnie, bez żadnego wynagrodzenia, — przeciw czemu żaden z posiadaczów nie byłby miał nic do zarzucenia, a co stało się w r. 1875 bez jakichbądź z ich strony przeszkód. Przeciwnie zaś, prawo wyłącznego wyszynku na danem terytorium, było prawem nabytem, które tak samo jak każde inne prawo, mogło wymagać uporządkowania i stać się przedmiotem odpowiednich ustaw, wywoływanych względami hygieny lub moralności publicznej, — do namiętnych przecież dyskusyi, nie powinno było dawać powodu. Po zniesieniu pańszczyzny, sprawa propinacyjna na porządek dzienny wprowadzona, a w r. 1875 oczekująca załatwienia ze strony kraju, już nie mogła i nie była sprawą ani polityczną, ani społeczną, ale jedynie i wyłącznie ekonomiczną i prawną.

Była ona jednak poczytywaną wtedy za sprawę tak dalece polityczną i społeczną, iż ją porównywano nawet z dawniejszym stosunkiem pańszczyznianym, i przywiązywano do niej równie doniosłe znaczenie, jak dawniej do samejże pańszczyzny, chociaż takiego znaczenia dla kraju jak poprzednio pańszczyzna, już wtedy mieć ona nie mogła i rzeczywiście już nie miała.

Ta zaś drastyczność poglądów, była dziełem agitacyi stronnictw politycznych, usiłujących szlachtę pozbawić faktycznego znaczenia i faktycznego na sprawy publiczne wpływu. Chociaż bowiem nie posiada ona od dawna żadnych przywilejów, któreby ją stawiały wyżej lub wyróżniały od innych warstw narodu, i któreby czyniły z niej odrębną kastę społeczną, — nie przestaje przecież na sprawy publiczne odpowiedniego mieć wpływu, i jeszcze to zajmuje stanowisko społeczne, jakie daje wszędzie tradycja połączona z wykształceniem i z majątkiem.

Stronnictwa polityczne, prowadząc między sobą walki, zwykle odznaczają się bezwzględnością, i nie gardzą żadną bronią, mogącą przeciwnika osłabić. Sprawa propinacyjna dostarczała właśnie broni, skoro dawała sposobność przywodzić na pamięć dawno wygasłe przywileje kastowe, i podnosić błędy w epoce przedrozbiorowej przez szlachtę spełnione; — w ostatecznym zaś rezultacie miała doprowadzić do umiejszenia dochodu właścicieli majątków ziemskich, a więc chociaż do częściowego zubożenia tych, którzy będąc przedstawicielami idei konserwatywnej, musieli być poczytywani za przeszkodę do wprowadzania w czyn zasad lub doktryn, wyznawanych przez stronnictwa rzeczonej idei przeciwne. Niezaniedbywały więc one użyć wszelkich środków, mogących prawo propinacji, a przedewszystkiem samą jego nazwę zdepopularizować i źle dla niej usposobić opinią publiczną. Nie przestawały dowodzić, że szynk wiejski jest ostatnim zrąbem gmachu, który dawniej osłaniał przywileje jednej warstwy społecznej z uszczerbkiem innych warstw społecznych; że gdy gmach od dawna runął, więc i ów zrąb co prędzej zburzyć należy, aby po rzeczonych przywilejach zatrzeć pamięć i żadnego nie pozostawić śladu. Dowodzono wreszcie, że pozostawienie korzyści pieniężnej z detalicznego rozsprzedawania trunków, w ręku właścicieli dóbr ziemskich, nie daje się pogodzić z ideami XIX wieku; — że więc prawo propinacji jako przestarzałe, a nawet szkodliwe dla żywotnych interesów kraju, należy znieść. Słowem czyniono wszystko co było możliwem, aby dyskusją nad przedmiotem utrzymać na polu politycznem, i nie dozwolić, aby sprawa była poczytaną za należącą do dziedziny ekonomicznej.

Agitacja ta okazała się skuteczną. Prawo propinacji wiejskiej zostało rzeczywiście zdepopularizowanem. Opinia publiczna wyraźnie oświadczyła się przeciw rzeczonemu prawu. Ten zaś jej sąd, wytworzył konieczność zajęcia się sprawą propinacyjną i uporządkowania jej w drodze prawodawczej. Ilekroć zaś zbiorowa myśl ogółu krajowego w jakiejbądź sprawie wytworzy taką konieczność, — ludzie rozumu i serca mają wtedy do spełnienia obowiązek, wzięcia tej sprawy w swe ręce. Nie cofnęli się oni przed tym obowiązkiem, i zajęli się sprawą propinacyjną tak samo żywo jak ongi zajmowali się stokroć donioślejszą kwestją włościańską.

A chociaż z badań nad przebiegiem rzeczonej sprawy. jest widocznem, że na ewolucję pojęć i zapatrywań ogółu w epoce między uwłaszczeniem włościan i rokiem 1875 wpłynęła najwięcej owa agitacja. — chociaż przeto niepodobna nie dostrzedz, ze zdepularizowanie prawa propinacji było w znacznej mierze osiągniętem sztucznie, — wątpliwości jednak nie ulega, że zadanie oczekujące na odpowiedź ze strony sejmu, już było wypływem rzeczywistej podówczas potrzeby politycznej, nie zaś utworem jednego lub kilku ludzi; gdyż wtedy rozum stanu już wskazywał, że opinii publicznej co prędzej należy uczynić zadosyć. Niewątpliwy to dowód, że podówczas zadanie to już narzuciło się samo, — że już je stawiała sama konieczność.

Zadania, podnoszone przez uczonych, zagłębionych w teorji i poszukujących bądź rozświecenia napotkanej wątpliwości, bądź postępu samejże nauki, mogą być lub nie być stawianemi, — mogą być lub nie być rozwiązanemi, — mogą być rozwiązane tak lub inaczej; — nie oddziaływają bowiem bezpośrednio na społeczeństwo i nie drażnią jego nerwów. Przeciwnie zaś, zadania które w danej chwili narzuca konieczność, przynoszę z sobą gotową odpowiedź, — więc i zadanie, mające za przedmiot prawo propinacyi wiejskiej, było przesądzonem z chwilą, w której narzuciło się samo. Odpowiedź nie mogła wypaść inaczej jak wypadła; — samo prawo musiało być zniesionem. Tego bowiem w r. 1875 już wymagał wzgląd wyższego rzędu.

Uznajemy jak najzupełniej i bez żadnych zastrzeżeń, że ten rezultat był wtedy już nieuniknionym, — a nawet, że wyrzeczone podówczas przez sejm zniesienie prawa propinacji wiejskiej, wzmocniło nasz narodowy organizm, skoro usunęło jeden z powodów, używanych do zakłócania harmonii między warstwami społecznemi, i zasłoniło właścicieli ziemskich przed zarzutem, jakoby własny swój interes pieniężny stawiać mieli wyżej nad interesem ogólno-krajowym. Więc i powyższe poglądy na przeszłość sprawy propinacyjnej i na jej przebieg. miały jedynie na celu uwydatnić, że jeżeli przed rokiem 1875 agitacja stronnictw politycznych, potrafiła nadać tej sprawie charakter polityczny i społeczny. a usuwać ją sztucznie z dziedziny ekonomicznej, jaka już od chwili uwłaszczenia włościan była dla niej jedynie właściwą, — to jednak wznawianie takiejże agitacji byłoby dziś zupełnie niewłaściwe, a nawet, — mamy nadzieję, — zupełnie bezskuteczne. Że więc i poseł Merunowicz, podnosząc przedmiot bezzwłocznego zniesienia prawa propinacji wiejskiej, niewłaściwie i bezskutecznie usiłuje w swem piśmie nadać owemu prawu charakter polityczny i społeczny, którego ono nie ma, i którego wobec ustawy z r. 1875 już mu przywrócić nie zdoła.

Prawo to, — jak już nadmieniono, — w tej postaci w jakiej do naszych przetrwało czasów, wytwarzało na korzyść właściciela majątku ziemskiego dwojaki przywilej: 1) wyłącznej fabrykacji trunków, — i 2) wyłącznego ich wyszynku, czyli detalicznej rozprzedaży, na całym obszarze majątku, bez względu na to, że część tegoż obszaru już stała się bezwarunkową własnością włościan.

Pierwszy z tych przywilejów, niezgodny z pojęciami zarówno o stanowisku politycznem jakie włościanin zajmuje w dzisiejszym ustroju naszego społeczeństwa, jak i o nadanem mu prawie własności, i prawo to rzeczywiście ograniczający, przedstawiał istotnie to odiosum propinacyjne, które nie mogło być dłużej utrzymanem i spiesznego zniesienia głośno się domagało. Przeciwnie zaś, drugi przywilej, nie mógł być za takież odiosum poczytywanym. Ograniczał on wprawdzie prawo własności włościanina pod tym względem, iż mu wzbraniał prowadzenia wyszynku i sprzedaży napojów na jego własną korzyść. Kto jednak ograniczenie to zechce oceniać bezstronnie, bez uprzedzeń powziętych *à priori*, i z uwzględnieniem warunków rzeczywistego życia wiejskiego, ten bezwątpienia przyzna, iż ograniczenie było raczej idealnem, nieprzynoszącem włościaninowi materyalnej szkody.

Nigdzie bowiem nie istnieje, nie może i niepowinna istnieć absolutna swoboda utrzymywania szynków; w całym świecie ich liczba jest i musi być ustosunkowaną, bądź do pewnego obszaru ziemi, bądź do pewnej liczby mieszkańców; — tego bowiem wymaga moralność publiczna, nakazująca baczyć, aby zbyt wielkie namnożenie szynków w danej miejscowości, nie ułatwiało rozpajania jej mieszkańców, ale aby szynk służył jedynie do zaspakajania potrzeb miejscowej ludności tak samo, jak każdy sklep z innemi artykułami, bez których ona obejść się nie potrafi, i po które musiałaby inaczej udawać się do mniej lub więcej oddalonego miasta. Chociażby więc właścicielowi obszaru dworskiego nie przysługiwało prawo wyłącznego wyszynku i sprzedaży napojów na całem terytorjum majątku, w skład którego dawniej wchodziły grunta nadane włościanom, jeszcze i w takim razie nie każdy z nich, a raczej żaden z nich nie byłby władnym utrzymywać na swym gruncie wyszynku i sprzedaży napojów, ale dopiero oddzielna ustawa musiałaby ten przedmiot uregulować w taki sposób, aby zawielka liczba szynków istnieć nie mogła; ustawa ta zaś wskazywałaby zarazem, ile może istnieć szynków w każdej danej miejscowości, i kto, pod jakiemi warunkami i na czyją korzyść może być do szynkowania dopuszczonym.

Powtarzamy więc, że ograniczenie swobody szynkowania, acz będące wynikiem przywileju służącego właścicielowi obszaru dworskiego i przynoszące mu korzyść pieniężną, w stosunku do każdego z osobna włościanina, było ograniczeniem tylko idealnem, nieprzedstawiającem takiego odiosum, któreby niezwłocznego zniesienia wymagało.

Mając przeto do załatwienia zadanie, uporządkowania sprawy propinacyjnej, prawodawcy z roku 1875 nie mogli nie dostrzedz różnicy, między powyżej uwydatnionemi przywilejami. stanowiącemi istotę i treść prawa służącego obszarom dworskim; — musieli więc znieść doraźnie i natychmiastowo, to, co wyobrażało jego rzeczywiste odiosum, — odroczyć zaś do z góry wskazanego terminu zmianę tego, co chociaż w teorji wyobrażało przywilej dający bezwątpienia obszarowi dworskiemu korzyść pieniężną, — w rzeczywistości przecież nie przynosiło włościaninowi bezpośredniej szkody, nieuszczuplało ani jego mienia ani jego pożytków, mogło przeto być na jakiś czas pozostawionem *in statu quo*, bez szkodliwych następstw dla żywotnych interesów ogólno-krajowych. Ileż to zresztą w całej Europie istnieje obszarów ziemi, będących własnością jednego, a jednak obciążonych tą lub inną służebnością przysługującą drugiemu; — a taki stan rzeczy jest przecież bez szemrania cierpianym, gdyż na interes ogólny ujemnie jeszcze nie oddziaływa.

Do załatwienia sprawy w powyższy sposób, skłaniała bezwątpienia prawodawców z roku 1875 potrzeba obmyślenia zapłaty za prawa, które częścią natychmiastowo, częścią w terminie oznaczonym, ale również ostatecznie i również stanowczo znosili.

Prawa te bowiem były niewątpliwie prawami nabytemi *(jura quaesita)*, prawami zapłaconemi przez tych, którzy je w roku 1875 posiadali, a w każdym razie dobrym tytułem i w dobrej wierze do nich doszłemi. Takie prawa można i należy znieść ilekroć ogół krajowy uznaje, że są bądź już przestarzałe, bądź dzisiejszym pojęciom przeciwne, bądź dla rozwoju społecznego szkodliwe. Żaden przecież umysł polityczny nie poważyłby się żądać, aby one miały być posiadaczom odjęte darmo, — żaden bowiem nie śmiałby takich praw naruszyć, skoro dzieje całej ludzkości pouczają, że wszelkie nieposzanowanie praw nabytych, żadnemu społeczeństwu i nigdy nie przyniosło rzeczywistego pożytku.

Znosząc takie prawa, trzeba za nie jednocześnie wynagrodzić, a winien za nie zapłacić ogół, który w swym interesie lub dla swych widoków domaga się ich zniesienia.

Że zaś znoszenie propinacji następowało w interesie całego kraju i za widoczną jego wolą, on przeto miał do spełnienia obowiązek obmyślenia rzeczonej zapłaty, — a mówiąc wyraźniej, wypadało uskutecznić ją z funduszu krajowego, a więc zaciągnąć pożyczkę krajową, wszystkich zaś mieszkańców bardzo dotkliwemi dodatkami do podatków, na zwrot zaciągniętego długu z procentami, przez lat kilkadziesiąt obciążać.

Pozostanie przeto nie małą zasługą reprezentacji krajowej z roku 1875, że usiłowała i umiała ochronić kraj przed tą alternatywą, nietylko smutną, ale nawet przechodzącą jego siły. Przez odroczenie terminu zniesienia wyłączności wyszynku i sprzedaży napojów, — na czem nikt nic nie stracił, — znalazła ona w samejże propinacji środki pieniężne, mające wytworzyć wynagrodzenie dla tych, którzy to prawo utracają.

Że wynagrodzenie to będzie umiarkowanem. — że nie zdoła pokryć całej wartości prawa, odejmowanego właścicielom ziemskim, — że wypadnie pociągnąć ich do pewnej ofiary pieniężnej, — to wszystko już w roku 1875 było łatwem do przewidzenia, tak, jak już wtedy nie można było powątpiewać, że się oni przed żądaną ofiarą nie cofną, skoro do ofiar byli zawsze gotowymi, ilekroć one były wymagane pod hasłem miłości kraju, a pożądane dla jego społecznego lub narodowego rozwoju.

Koniec rozdz. I.

(D. c. n.)

---

[1]) Istnieje takie prawo nawet we Lwowie i jako accessorium prawa własności domu, jest hypotecznie ustalonem.

DZIECIĘ Z URBINO

powiastka

OUIDY

przetłómaczył

S. G.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego dnia, gdy Rafael patrzał przez okno w domu mistrza, przyjaciel jego piękny czarnowłosy Łukasz, stojąc obok niego zaczął wzdychać tak ciężko i rozpaczliwie, że dziecię, słysząc to, zbudziło się z swoich marzeń.

„Łukaszu, co ci dolega? pytał Rafael obejmując go drobnemi rączkami. „O mój Faello, jęknął młody uczeń, trafia się teraz jedyna sposobność zdobycia ręki Pacifiki, gdybym miał choć odrobinę talentu, choć tyle, co go ma ów Giorgio z Gubbio. Dlaczegoż Pan Bóg dał mi siłę muszkułów i ramion a odmówił artystycznego natchnienia? —

„Cóż to za sposobność? zapytał Rafael, przed chwilą widziałem Pacyfikę, ale nic mi o tem nie wspominała".

„Bo biedaczka sama nic nie wie, odparł Łukasz wzdychając jeszcze boleśniej. Trzeba ci wiedzieć, że książe dziś rano zrobił u nas nowe zamówienie. Pragnie mieć misę i dzban z najpiękniejszej majoliki, na którym ma być przedstawiona historja Esthery. Robota musi być skończoną najdalej za trzy miesiące a potem poszle ją książe w darze krewnemu swemu Gonzadze. Malowidło ma być najkosztowniejsze, jakie tylko być może, a cenę oznaczono na 50 skudów. Mistrz Benedetto, który zdaje się wiedział o tem już dawniej, przysposobił większą ilość wspaniałych mis i dzbanów. Każdy z nas czterech, będących u niego na nauce, dostanie jedną. Benedetto twierdzi, że słaby wzrok niedozwala mu już zajmować się taką pracą, dlatego nam ją powierza i nie kryje się z tem, że kto najlepiej wykona książęce zamówienie, zostanie jego wspólnikiem i otrzyma rękę Pacifiki. Niektórzy przypuszczają wprawdzie. że chce on tym sposobem tylko dodać nam bodźca, by robota wypadła jaknajlepiej, ale ja dobrze znam mistrza i wiem, że nie potrafi złamać uroczystej obietnicy. Co raz powiedział, tego dotrzyma z pewnością; czyje dzieło uzyska uznanie księcia, ten zdobędzie Pacifikę. Otóż widzisz, mój Faello, dlaczegom taki smutny; umiem wprawdzie nieźle obchodzić się z porcelaną; roboty moje są czyste i trwałe, ale do malarstwa nie mam najmniejszych zdolności. Wiem doskonale, że wszyscy moi towarzysze przewyższają mnie pod tym względem."

Mały Rafael z pochyloną główką wysłuchał z milczeniem tego opowiadania. Nie było dlań tajemnicą, że trzej inni uczniowie, malowali lepiej niż Łukasz, ale pod względem dobroci i uprzejmości, nie mogli się z nim równać, a zresztą Pacifika jego tylko kochała. „Jak wiele czasu przeznaczono na wykończenie tej pracy?" zapytał w końcu.

„Całe trzy miesiące, lecz choćby i trzy lata, cóż mi to pomoże? Boskiego daru sztuki niesposób zaszczepić w człowieka, co go z sobą na świat nie przyniósł. Talentu nie nabędę już do samej śmierci. Poczciwy twój ojciec, który mnie lubi, tak mówił do mnie wczoraj: „Na nic to się nie przyda, mój Łukaszu, tak tobie wzdychać do Pacifiki, jak mnie do księżyca. Gdybym był jej ojcem, oddałbym ci ją bez wahania, bo złote masz serce, ale u mistrza Benedetto nic nie wskórasz, nie umiejąc malować. Dam ci jednę dobrą radę, jesteś zdrów i silny, więc zaciągnij się do wojska, tam przyszłość dla ciebie" — i muszę przyznać, że ma słuszność zupełną.

„Ależ Pacifika, przerwał chłopiec, Pacifika nie chce, byś ty wstępował do wojska".

„Któż to wie, odparł Łukasz z rozpaczą, może ona o mnie nawet i nie myśli".

„Mylisz się Łukaszu, rzekł Rafael, ona cię kocha, tylko nie śmie tego wyjawić, wiedząc że Benedetto jest niechętnym dla ciebie. Żebyś wiedział, jak ona lubi, jak pieści tego ptaszka, któregoś dla niej ułaskawił, a robi to pewnie z miłości dla ciebie".

Łukasz uściskał chłopaka a łzy płynęły po jego zrozpaczonej twarzy. „Na cóż mi się to przyda, choćby mnię i kochała — szepnął. — Benedetto nigdy na to nie zezwoli, a odda jej rękę temu, kto wymaluje najlepiej zastawę zamówioną przez księcia.

Och! gdybym dożył tej chwili, w której Pacifika zostanie żoną innego, wówczas natychmiast zaciągnę się do wojska i będę prosił Boga, by mi zesłał śmierć jaknajprędzej".

Tymczasem Rafael dumał ciągle w milczeniu aż wreszcie podniósł główkę i rzekł: „Mam ja niezłą myśl, Łukaszu, tylko nie wiem, czy ty zechcesz na to przystać".

„Mów dziecino droga, zawołał Łukasz, wiesz dobrze, że zrobię wszystko, co zechcesz; ale ty nie jesteś w stanie mi dopomódz ani nikt na świecie, ani nawet święci w niebie".

Rafael uśmiechnął się do niego i rzekł: A teraz posłuchaj...

W parę dni później mistrz Benedetto oznajmił uczniom swoim uroczyście zamówienie księcia i swoje własne zamiary. Nie wymienił wprawdzie nazwiska swej córki, lecz bardzo wyraźnie dał im do zrozumienia, że czyje dzieło uzyska uznanie księcia, ten zostanie jego wspólnikiem a może i zięciem.

W owych czasach nie wiele zwracano uwagi na głosy serc dziewiczych. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło potępić mistrza garncarza, że nie pytając o zdanie swej córki, rozporządza dowolnie jej ręką.

Ale najbardziej przeraziła uczniów Benedetta wiadomość, że nietylko oni, lecz każdy mieszkaniec księstwa Urbino będzie miał prawo ubiegać się o nagrodę. Któż mógł przewidzieć, czy po za ich kołem nie znajdzie się jakiś wybraniec fortuny, żyjący dotąd w ukryciu, który zyska względy mistrza i rękę jego córki a wraz z nią obszerny dom kamienny, kosztowne tkaniny, drogie kamienie i piękny kawał ziemi pełen zboża i drzew owocowych na równinie pod miastem.

Łukasz wprawdzie nigdy nie myślał o posagu Pacifiki, ale jego towarzysze i w ogóle cała młodzież z Urbino nie gardziła dobytkiem. Gdyby nie to, że prawo udziału przysłużało tylko tym, którzy urodzili się w księstwie, nie jeden młody malarz z po za Apeninów, nie jeden artysta z pięknej Florencji lub miast lombardzkich, byłby pospieszył, by się ubiegać o tak wspaniałą nagrodę. Biedny Łukasz, zrozpaczony do najwyższego stodnia, dziękował przeznaczeniu i za to, że przynajmniej liczba jego współzawodników była ograniczoną.

„Na twojem miejscu, rzekł raz Jan Sanzio do mistrza Benedetto, wolałbym znaleść dla córki poczciwego człowieka, niż zdolnego artystę. Wiesz dobrze przyjacielu, że wielki artysta nie zawsze bywa dobrym człowiekiem a szczęście małżeńskie zawisło bardziej od charakteru, aniżeli od zdolności". Wówczas surowa twarz mistrza Benedetto uśmiechała się dwuznacznie; rozumiał on bardzo dobrze, do czego zmierza mowa Jana Sanzio. „Potrzebuję, mówił, zdolnego człowieka, który potrafi utrzymać sławę mojej pracowni. Wzrok mój słabnie z każdym dniem, a niechciałbym dożyć chwili, w której Urbino będzie musiało ustąpić przed innymi miastami, jak Pesoro, Gubbio lub Castel Durante. Jeśliby, czego nie przypuszczam, Pacifika miała na tem ucierpieć, niech podziękuje przeznaczeniu, które ją stworzyło córką znakomitego artysty".

Wesoły, roztropny Sanzio uśmiechał się tylko na te słowa. Umiał on dobrze ocenić zdolności Benedetta, a takie wygórowane samochwalstwo wydawało mu się śmiesznem. „Biedna Pacifika, myślał w duchu, szkoda że mój Faello nie jest starszym o jakie lat kilkanaście". Poczciwy ojciec, który nie mógł przewidzieć świetnej, niezrównanej przyszłości, która czekała jego syna, w prostocie ducha niczego więcej nie pragnął dla niego, jak by żywot jego upłynął spokojnie w zacisznem Urbino w cieniu przyjaźnych murów pałacu Montefeltro.

Cóż tymczasem porabiał Rafael? Każdą wolną chwilę, często pół dnia a czasem i dzień cały, spędzał w izdebce Łukasza przed misą i dzbanem mało co mniejszym od niego. Izdebka ta była ciasna i uboga, a mieściła się na strychu. Każdy uczeń Benedetta miał jednę taką osobną dla siebie, za co Łukasz teraz gorąco Bogu dziękował, gdyż inaczej nie mógłby był ukryć swego opiekuńczego anioła. Tajemnicą bowiem, którą Rafael wówczas szepnął mu do ucha, było, „pozwól niech ja sprobuję malować".

Długi czas Łukasz wahał się, co ma uczynić; tylko serdeczne przywiązanie, które go łączyło z młodym chłopaczkiem, wstrzymywało go od pustego śmiechu. Jakto on Rafael Sanzio, chłopiec zaledwie siedmioletni, chce malować misę i dzban dla Gonzagi? Ruszał ramionami poczciwiec i uśmiechał się mimowoli, ale gdy spojrzał na zamyśloną twarzyczkę Rafaela, który patrzał na niego z taką głęboką wiarą i z taką ufnością w łaskę nieba, przestawał się uśmiechać.

„Pozwól mi spróbować, mówiło dziecię po raz setny. W najgorszym razie wypadnie tylko zapłacić za zepsutą misę i dzban, a Rafael miał przecie dwa własne, złote dukaty, które mu darował raz książe, gdy oglądał freski jego ojca na ołtarzu św. Dominika de Cagli.

Rafael prosił tak natarczywie, a rozpacz Łukasza z każdym dniem wzrastała, więc w końcu musiał pozwolić. „Ja sam nic nie potrafię wymalować, mówił strapiony, patrząc na swój niezgrabny rysunek, niech więc probuje to dziecię; czasami święci robią cuda za pośrednictwem takich małych aniołków.

„Nie będzie to żaden cud, mówił Rafael słysząc te słowa, tylko łaska Boga, który mnie obdarzył zdolnością".

Od tej chwili codziennie wczesnym rankiem przybiegał Rafael, zamykał się w izdebce i pracował. Czasami marszczyło się jego gładkie czoło,

a czasem znowu uśmiechał się błogo widząc, że praca postępuje pomyślnie.

Jan Sanzio opuścił wówczas na parę tygodni Urbino i udał się do Citta de Castello, gdzie miał malować obrazy do ołtarza. Rafael po raz pierwszy w życiu cieszył się z nieobecności ojca, który byłby spostrzegł zaraz jego częste wycieczki do izdebki Łukasza, i byłby chłopca zasadził do książki lub zatrzymał przy sobie. Matka nie wzbraniała mu tego, zadowolniona, że chłopiec się bawi, i wiedząc dobrze, że w domu Pacifiki nic złego nie może go spotkać. Pacifika sama nie mogła pojąć, co Rafael robi ciągle w samotnej izdebce, a gdy go raz zapytała, chłopiec szepnął jej w uszko:

„Ja tak pragnę, by Łukasz ciebie zdobył, on cię tak kocha, a ja kocham was oboje“. Pacifika bladła i wzdychała na te słowa, a potem szła do kołowrotka i Rafael widział łzy gorące, które spływały po jej twarzy.

Ona myślała, że Rafael czuwa tak nad pracą Łukasza i kochała go za to jeszcze bardziej. Ale w głębi duszy czuła dobrze, że to wszystko nadaremne, bo Łukasz nie potrafi wymalować coś takiego, coby mogło podobać się księciu. A ona biedna tak pokochała Łukasza; wszak on był taki piękny, odważny, łagodny, pełen szacunku dla niej. Cóż jej na tem zależało, czy Łukasz umie malować, kiedy wiedziała, że on jeden potrafi ją uszczęśliwić.

Tymczasem w izdebce Łukasza Rafael spędzał najcięższe chwile swego dziecinnego żywota. Nawet Łukaszowi nie wolno było patrzeć na jego rysunki. Pracował przy zamkniętych drzwiach a wychodząc zamykał swoje dzieło do skrzyni. Natrętne wróble zaglądały do okna i świegotały wesoło; słońce złociło jasne włoski dziecięcia taką aureolą, jak ojciec jego zdobił głowy świętych na obrazach. Rafael pracował wytrwale i nie patrzył nawet przez okno, choć nieraz odgłos trąb i kotłów i wesołe okrzyki zachęcały go, by spojrzał, co się w mieście odbywa. Miał zaledwie lat siedm, a pracował już jak dorosły mężczyzna. Jego drobne, różowe paluszki silnie trzymały pędzel, którym miał zdobyć sobie za życia i po śmierci chwałę nieśmiertelną, dzięki której jego delikatne ciało miało spocząć na wieki w Panteonie rzymskim.

Setki arkuszy zarysował mały Rafael, zanim mu się udało ubrać natchnienie w odpowiednią szatę. Gdy go wreszcie ostatni rysunek zadowolnił, zabrał się do trudniejszej jeszcze pracy, mianowicie do odtworzenia go na emalii porcelanowej. O jakże wdzięcznym był teraz, że ojciec od dzieciństwa pozwalał mu bawić się pędzlem i sił swoich próbować, i że stary mistrz Benedetto w chwilach dobrego humoru zdradzał mu tajemnice swej sztuki. Dziecinne jego serduszko uderzało radośnie, gdy ujrzał obrazy, w drobnej główce zrodzone, oddane tak pięknie i tak żywemi barwami. Pewien znakomity pisarz powiedział, że geniusz jest to przedewszystkiem zdolność poświęcenia się ciężkiej pracy. Wolałby był raczej powiedzieć, że każdy geniusz posiada wprawdzie tę zdolność, lecz że główną jego cechą jest tworzyć rzeczy cudowne bez żadnego wysiłku, niemal z uśmiechem na twarzy. Łukasz patrzył na chłopca i dziwił się coraz bardziej jego zajęciu, jego pilności i łatwości, z jaką malował. Ta postać drobniutka, pochylona nad olbrzymią misą koło okna, przez które widać było kawał błękitnego nieba, wydawała się Łukaszowi uświęconą jakąś nadziemską niewinnością dzieciństwa. Tymczasem twarzyczka Rafaela spoważniała i pobladła, a piwne jego oczy robiły się coraz większe, głębsze i jaśniejsze.

„Kto wie, czy Jan Sanzio nie weźmie mi tego za złe, gdy się dowie“, rozmyślał Łukasz, ale teraz już było zapóźno; chłopczyna Faello zmienił się w mistrza Rafaela. I tak pracował dzień po dniu w skromnej izdebce, podczas gdy na szerokim świecie tulipany kwitły i więdły, żywe płoty pokrywały się powojem, a na równinie oblanej światłem słonecznem żółte zboża padały pod sierpem żniwiarzy.

Nadeszło lato; trzymiesięczny termin upływał za tydzień. Powtarzano sobie, że wszyscy współzawodnicy są już gotowi.

(Dok. nast.)

Nowa rachuba czasu.

W zachodniej Europie i Ameryce coraz silniej agitują za podziałem doby nie na dwa razy po dwanaście, lecz od razu na dwadzieścia cztery godzin.

Reforma ta nie dziś poczęta, pomyślana już bardzo dawno, ostatnio poruszona w Ameryce wraz ze sprawą pierwszego południka, zaczyna się przyjmować w Anglji, nietylko w teorji i w zastosowaniu do telegrafu i kolei żelaznych, jak doradza konwencja międzynarodowa, ale nawet w życiu potocznem.

Co chwila czytamy doniesienia, że tu i ówdzie w Anglji zaprowadzono nową rachubę czasu.

Za reformą tego rodzaju bardzo gruntownie i silnie przemawia logika. Pocóż każdy dzień rozpoławiać i każdą połowę z osobna na godziny mierzyć, kiedy liczb nam przecież nie zabraknie do policzenia kolejnego wszystkich dwudziestu czterech godzin? Poco mówić „5-ta rano“, „11-ta przed południem“, „3-ia po południu“, „7-ma wieczorem“, „11-ta w nocy“, kiedy można po prostu powiedzieć „5-ta“, „11-ta“, „15-ta“, „19-ta“, „23-ia“ i każdy od razu będzie wiedział czy mowa o poranku, południu lub wieczorze? Reforma taka będzie ułatwieniem w stosunkach, oszczędnością pieniędzy dla tych co telegrafują, oszczędnością czasu dla tych co mówią albo piszą. Wszystko zatem za nią przemawia.

Wszystko... czy tylko doprawdy wszystko?...

Byłoby to rzeczywiście rzeczą zdumiewającą, gdyby ten pomysł miał być tak doskonałym, żeby naprawdę nic a nic przeciw niemu powiedzieć nie było można. Każda rzecz ma swoją ciemną stronę, a doba dwudziestoczterogodzinna miałaby jej nie mieć?... Nie, to chyba niemożebne.

Poszukajmy zatem tej ciemnej strony.

Wyobraź sobie czytelniku, że słyszysz bijący zegar i chcesz się dowiedzieć która godzina. Uderza raz, dwa... doskonale, trzy, cztery, pięć, sześć.. jeszcze dobrze... siedm, ośm, już ci się nudzi liczyć, a przy dziewięciu i dziesięciu wołasz rozgniewany:

— Cóż u licha, czy się to nigdy nie skończy?...

Ciekawa rzecz co powiesz, jeżeli ci tak uderzy godzinę 22-gą, 23-ią lub 24-tą?...

A teraz przypuść, że jesteś w mieście mającym kilka bijących i dających się słyszeć zegarów wieżowych. Już teraz one nas niecierpliwią, bo gdy jeden bić kończy, drugi zaczyna i trwa to niekiedy 5 lub 6 minut, przy zegarach nowych trwałoby kwadrans albo dłużej. Nie byłżeby to środek, przyczyniający się jeszcze bardziej do zdenerwowania całej generacji tym nowym nabytkiem uszczęśliwionej?...

Policzmy tylko. Zegar 12-godzinny, czyli półzegarze, ażeby wszystkie godziny całej doby miastu obwieścić potrzebuje 156 uderzeń, zegar 24-godzinny musiałby ich zrobić aż 300.

Mojem zdaniem, nie jest te okoliczność, któraby bardzo za zaprowadzeniem reformy zegarowej przemawiała.

A teraz porzućmy zegary wieżowe i weźmy nasze kieszonkowe, spokojnie i cicho idące.

Po zaprowadzeniu reformy musiałyby one mieć na cyferblacie nie 12, jak teraz, ale 24 cyfr. Wynikłoby z tego, że gdy dziś dosyć rzucić okiem na zegarek, aby dostrzedz godzinę, po reformie za każdym razem musielibyśmy wpatrywać się w tarczę uważnie, żeby przypadkiem 8-ej nie wziąć za 9-tą albo 11-tej za 15-tą. A cyfry także na zegarkach takiej jak dzisiejsze wielkości musiałyby być mniejsze i trudniejsze do rozróżnienia, bo jeśli dziś 12 godzin wyraża się w cyfrach rzymskich 27-ma znakami, na oznaczenie 24 godzin, potrzeba byłoby znaków takich 69. Nie wiem doprawdy, czyby to było oszczędnością czasu i... wzroku.

Z godzinami wreszcie jak z godzinami, ale z minutami byłoby jeszcze gorzej. Dziś gdy widzę wielką wskazówkę na 8-ej lub 11-tej, mnożę tę cyfrę przez 5 i wiem odrazu, że jest minuta 40-ta lub 55-ta, po reformie widząc wielką wskazówkę na 17-ej musiałbym 17 mnożyć przez $2^1/_2$ i doszedłbym dopiero po mozolnym dosyć rachunku, że jest minuta $42^1/_2$. Dla wprawy w arytmetyce byłoby to może pożądane, ale czy praktyczne w życiu potocznem, wątpię.

Gdyby to ta reforma zegarów miała tylko same doskonałości i zalety, toż pono ubolewaćbyśmy bardzo powinni nad ciemnotą naszych praojców, że nam dobę na dwie połówki rozdzielili i wymyślili „półzegarza“ zamiast zegarów. Ale myliłby się, ktoby przypuszczał, iż rachuba 24-godzinna była przodkom naszym nieznaną. Historycznie rzecz biorąc, jest ona dawniejsza od rachuby dniowej i podział doby na dwie połowy wymyślony został właśnie dlatego, żeby jej niedogodność usunąć.

Czyliż się mamy cofać do tej rachuby pierwotnej, aby nas znowu doświadczenie o jej niepraktyczności przekonało?

Sądzę, że do tego nie przyjdzie.

We wszelkich obliczeniach praktycznych, pożądane są zawsze cyfry jak najmniejsze. Rok ma 365 dni. Nie byłożby dogodniej powiedzieć zamiast „dnia 18-go października“, poprostu „dnia 291-go“? Po co wymyślać te jakieś miesiące, dłuższe, krótsze i jeszcze krótsze, niby księżycowe a z księżycem niezgodne, po co dzielić całość na 12 części i każdą część mierzyć osobno? Po co? — dlatego i jedynie dlatego, żeby uniknąć cyfr zbyt wielkich.

Tak się robi zawsze i wszędzie i tak też zrobiono z podziałem dnia. Liczymy do 12-tu gogzin, bo nam do 24-ch liczyć zadługo. Za półzegarzami przemawia większa ich prostota, a zatem większa praktyczna dogodność. Zegary 24-godzinne w teorji są doskonałe, w praktyce dopiero okazuje się czem te zalety teoretyczne muszą być okupywane.

Cała zresztą arytmetyka polega tem, żeby pewną liczbę jednostek skupiać w całość, tę całość znów brać za jednostkę i pewną liczbę tych jednostek większych znów uznawać za całości, za jednostki wyższego rzędu. Bez tego sposobu niktby się nigdy nie doliczył do miljarda, ani nawet do miljona, bez tej metody nie byłoby arytmetyki.

Dzielenie jednostki na części i każdej z tych części znowu na cząstki jest zatem prawdziwie naukowym, matematycznem sposobem wymierzania. Liczenie po jednemu aż do skutku, to najelementarniejszy i wcale nierachunkowy sposób liczenia.

Ostatecznie zatem praojcowie nasi, którzy doszedłszy do 12-tu godzin, wzięli je za pewną całość i dalej takiemi całościami czas mierzyli, przekazali nam bardziej naukową i bardziej pomysłową metodę mierzenia czasu, niż ta, do której niektórzy nasi współcześni chcą powrócić.

U KABALARKI

przez

MONSOLETA.

Cobyście na mojem miejscu zrobili?

Położenie bardzo kłopotliwe...

Ale moje pytanie zbyteczne; jesteś, czytelniku, wyższym pewno nad wszelkie przesądy,

Jesteś filozofem, jesteś mędrcem...

Ja zaś będąc tylko dziennikarzem i nie mogąc już wytrzymać, postanowiłem zasięgnąć rady...

Doktora? — nie! adwokata? — nie! księdza? — nie...

Poszedłem do kabalarki!

Ah! wiem i już widzę, jak się ze mnie śmiać będziecie, — zuchwale jednak wyzywam szyderstwo.

Nie było u kabalarki: ani wypchanego krokodyla przy suficie, ani szkieletu w szafie, ani sowy na ramieniu, ani potwornej ropuchy u nóg, ani jaszczurki śniącej gdzieś w kącie, ani syczącego kociołka na siarczanym ogniu. Strój jej nie był czarnym, ani ozdobnym w szkarłatne symbole; dłoń jej nie wstrząsała różczką czarodziejską! Była skromną i ujmującą.

— Pani — rzekłem — od dwóch miesięcy trapi mnie nocami jakaś dziwna, jednostajna zmora.

— Zmora? To wchodzi w zakres mojej działalności. Mów pan, proszę.

— W godzinę ledwie po zaśnięciu straszny jakiś hałas dolatuje moich uszu... Słyszę z początku, wrzaski i krzyki, wśród których odróżniam obelgi, przeciw mnie skierowane. Podnoszę się, chcąc odpowiadać i protestować — głos mój, ma się rozumieć, odmawia mi posłuszeństwa. Otaczają mnie wyżsi urzędnicy, patrzą na mnie i grożą wytoczeniem procesu. Jakiego procesu? Naprózno się szamocę. Ludzie biegną uzbrojeni, a za nimi również uzbrojeni ludzie. Jedni chcą mnie zastrzelić, drudzy gotują armaty. Na mnie nie zwracają już uwagi — korzystam z tej chwili, ratując się ucieczką. Jestem na pełnem morzu... Tu ścigają mnie zbrojne okręty, ziejące ogniem. Gdy dopływam do lądu — wszędzie odgłos dzwonów i bębnów. Głowa mi pęka, kolana się gną, wołam o łaskę.

— A potem?

— Potem zasypiam na pół godziny.

— Zasypiasz pan?

— Tak, snem błogim i spokojnym; wówczas niby słyszę dźwięk pozytywki, która, jakby do snu, gra smętną, jednostajną zawsze pieśń.

— Dźwięk pozytywki! — szepnęła kabalarka zamyślona.

— Po upływie tej pół godziny budzi mnie nieznośny zapach chemicznych zapałek, lub kłęby dymu, lub też rozpaczliwe wołania: „Ratunku! ratunku! pomocy!“ Oddech mam stłumiony, oczy stoją słupem. Walczę z urojonymi rozbójnikami, którzy żądają moich skarbów; nad głową widzę błysk siekiery; ciągną mnie za włosy; czołgam się w krwawej kałuży. Szarpią mnie w kawały, wrzucają do skrzyni i zanoszą na kolej. Śni mi się też nieraz, że wpadam pod koła omnibusu, że jem trujące grzyby, że jakaś maszyna mnie porywa i siecze na miazgę. A czasem... o Boże! wpadam w świeżo wykopany grób!... Okropność!

— Dalej?

— Ci, co mnie chcą ratować, wracają na wpół uduszeni.

— Dalej?

— Dość, iż nie ma przypadku, któryby mnie nie spotkał, nie ma nieszczęścia, któregobym nie był ofiarą.

— Czy się stan ten uspakaja? — spytała kabalarka.

— Trochę, lecz niestety! nie na długo. Sen mój się przeistacza, oto wszystko. Czuję się chorym.

— Chorym?

— Na wszystkie choroby, kaleką na wszystkie kalectwa. Obwiązany jestem bandażami chirurgicznemi, szarpiami, pasami. Każą mi otwierać usta i połykać mieszaninę jakąś, złożoną z pastylek, pigułek, rumianków, ulepków, mięty, syropów, kapsułek, musztardy i t. d. Cóż za męczarnia! jakie katusze!

— I na tem koniec?

— Prawie — rzekłem wzdychając.

— Jakto? ani jednego miłego wrażenia? ani jednego rozkosznego widzenia?

— Owszem...

— Ah!

— Nad ranem...

— Słucham pana.

— Wtedy dopiero przejęty jestem uczuciami nie tak materjalnemi. Słodkie głosy przemawiają do duszy mojej... Widzę ogrody i łąki kwitnące; pod cienistym dębem spotykam się z ukochaną moją; wkradam się balkonami, kryję w buduarach. Miłość moja ulatuje z kraju do kraju, co godzinę, co minutę. Czasem jestem pięknym magnatem, okrytym haftami i drogiemi kamieniami; spędzam dni moje u dworu, u stóp królowej; należę do spisków, mam pojedynki, sypię złotem. Wieczorem z twarzą zasłoniętą maską, ze szpadą u boku, przesuwam się ciemnemi ulicami. Innym znów razem, stojąc na czele najgorszych łotrów, ścigany przez policję, walczę zręcznością i przebiegłością z najzdolniejszymi jej członkami. Uciekam z wszystkich więzień, dachami, kominami i piwnicami.. I cóż pani powiem? Życie to nie sprzeciwia się moim upodobaniom; czuję, że żyję i na tem koniec mojej zmory. Uf!

Uśmiechnęła się kabalarka i wstała.

— Żarty pana są dość udatne — rzekła.

— Żarty! — zawołałem — ale gdzież tam! Jest to zmora straszna i uporczywa. Aby się przed nią ustrzedz, stopniowo wyrzekłem się...

— Wiedziałam, że to przyjdzie — czegóż się pan wyrzekł?

— Kawy.

— Następnie?

— Po kawie wyrzekłem się likierów, potem wina...

— Czy to wszystko?

— Wszystko! i cóżbym mógł jeszcze wykreślić?...

Kabalarka potrząsła głową.

— Czy wyrzekłeś się pan dzienników? — spytała...

Podskoczyłem na krześle...

— Jakżeż mam się wyrzec dzienników, kiedy moja istność zasadza się na ich czytaniu.

— I na snach o nich...

— Co pani chcesz przez to powiedzieć?

— Przypadek pański jest bardzo powszedni, tak dalece, iż nawet kabały nie będę potrzebowała układać.

— Tem gorzej — szepnąłem.

— Zmora pańska ma cztery strony; numer jeden kosztuje piętnaście centymów...

— Ba!

— Uważaj pan. Ten hałas, te wrzaski i krzyki, nie jest-że to ta część dziennika co się zwie „Wiadomości polityczne?“ odblask namiętności, streszczenie posiedzeń politycznych? Ci ludzie zbrojni, ta groźba śmierci, ten odgłos dzwonów i armat, przedstawiają „Wiadomości zagraniczne“.

— Tak pani sądzi?

— Wierzaj mi pan...

— Co! te wstrząśnienia, których doznaję...

— To „telegramy“.

— Ale jak mi pani te półgodziny spokoju wyjaśni?

— Jest to ustęp, zwany „Telegramy handlowe“, rodzaj ciasta przesypanego usypiającym proszkiem...

— A więc, ten krótki i pokrzepiający sen...

— Winien go pan jesteś „Obecnemu położeniu“.

— Pojmuję. A pozytywka... Pozytywka grająca jednostajną pieśń?...

— Pozytywką kręci redaktor.

— Zaczynam pojmować — rzekłem.

— To szczęście...

— Ale nie koniec na tem... a późniejsze wstrząśnienia?

— Są to „Wiadomości bieżące“. Rozdział bez końca o wypadkach, zbrodniach, przestępstwach... Choroby pańskie i kalectwa są przypomnieniem czwartej stronnicy czyli doniesień, po największej części lekarskich.

— To prawda.

— Nakoniec, ta godzina zachwytu, przeistoczeń, cudnych i nędznych...

— I cóż?

— Jest to „feljeton“!

— Rzeczywiście — zawołałem.

— Kochany panie, jeśli chcesz wyzdrowieć czytaj mniej dzienników.

Tak mówiła kabalarka.

Obawiam się, że skończę dni moje u „Niewyleczalnych!“.

KONIEC.

Z Afryki środkowej.

II

(Ciąg dalszy.)

Trzy miesiące później odkrył wielką rzekę, którą krajowcy nazywali Tschambezi — płynącą ku zachodowi.

Poszukiwania dalsze wykryły, że wielka ta rzeka wpada do jeziora Bembo albo Baugweolo (11° południ. szer. i 29 wsch. dług.), wypływa z niego jako Luapula i płynie dalej w kierunku północnym. Pod tem nazwiskiem znaną jest ta rzeka aż do miejsca, w którem wpada do jeziora Mweru albo Moero, leżącego na północ od jeziora Bembo. Opuszczając jezioro Mweru zmienia rzeka jeszcze raz swoję nazwę i odtąd zowie się Lualabe. Bieg jej jest i teraz północny — a okoliczność ta, jak niemniej majestatyczna szerokość i głębokość rzeki — naprowadziły bystrego badacza na domysł — że wodzi przed sobą Nil — w jego górnym od tylu lat tysięcy poszukiwanym biegu. Naturalnie, że najgorętszem jego życzeniem było na teraz przynajmniej, udać się z biegiem tej rzeki i nabyć w tym względzie pewności. Zabrał się też bezzwłocznie do wykonania swojego zamiaru i uskutecznił go o ile siły jego na to pozwalały.

Kierując się biegiem rzeki posuwał się coraz bardziej ku północy i dotarł aż do miejscowości arabskiej Nyangwe, pod 4° południ. szer. geogr. Wszelkie usiłowania jego, ażeby pójść dalej raz wytkniętą drogą i rozwiązać zagadkę tej interesującej rzeki rozbiły się o trudności natury fizycznej, którym złamany wiekiem i trudami starzec nie mógł wydołać. Zniechęcony tem niepowodzeniem i trawiony febrą — i innymi dolegliwościami zawrócił Livingstone i powrócił nad jezioro Tanganika, gdzie się spodziewał zastać listy z Europy i nowe środki do dalszych badań.

Tymczasem w Europie, gdzie już od lat kilku nic o Liwingstonie nie słyszano i domyślano się tylko, że udał się w okolice wielkich jezior, dokąd mu po raz ostatni w r. 1863. posłano nowe zasoby żywności i lekarstw, poczęto wierzyć pogłoskom o jego śmierci.

Dlatego też czyniono najrozmaitsze usiłowania, ażeby się czegoś pewnego dowiedzieć o śmiałym podróżniku. Wszystkie wszakże ekspedycje, wszelkie poszukiwania zostawały bezskutecznemi.

Z końcem roku 1870 polecił O. James Gordon Bennet, właściciel nowojorskiego dziennika *Heralda* jednemu ze swoich korespondentów, młodemu amerykaninowi Henrykowi Stanley, ażeby puścił się w ślad za Livingstonem i zbierał wszelkie o nim wiadomości, mogące posłużyć do jego odszukania.

Jeżeli zadanie to w ogóle mogło być rozwiązane — to wybór Benneta nie mógł być szczęśliwszy.

Henryk Moreton Stanley urodził się w r. 1843 w jednem z mniejszych miasteczek północnej Ameryki. Już w młodym wieku zaprawiał swój umysł, wielkiemi obdarzony zdolnościami do samodzielności i przyzwyczajał go do odbierania niezwykłych wrażeń.

Do ośmnastego roku życia pozostawał w ciągłej styczności z przyrodą naprzód w lesistych okolicach Arkansasu nad brzegami Missouri — później w preryach nad Mississipi, tego olbrzyma wód nowego świata, którego wspaniała wielkość dziwny urok wywierała na młodzieńczym umyśle Stanleya. Wcześnie już poznał on własności rzek wielkich i niebezpieczeństwa podróży po nich — doświadczenie, które w tak wysokim stopniu uprościć i ułatwić mu miało rozwiązanie najważniejszego zadania tego stulecia.

W ośmnastym roku życia brał udział w wojnie domowej północnych stanów Ameryki z południowymi a po zawarciu pokoju został korespondentem czasopism amerykańskich. W tym charakterze zwiedził on Turcyę europejską i azyatycką, zaprawiając się zawczasu do pokonywania rozlicznych trudów i niebezpieczeństw, połączonych z podróżowaniem po nieznanych krajach. Z Abissynii, gdzie wówczas toczyła się walka między Anglią a królem abissyńskim Teodorem, przesyłał jako naoczny świadek szczegółowe raporta nowojorskiemu *Heraldowi*, w którego usługach zostawał, a po ukończonej wojnie udał się do Francji i Hiszpanii, zkąd na wezwanie swojego szefa przybył do Paryża.

Właśnie wówczas zajmował się świat uczony Livingstonem, o którym, jak już wspomnieliśmy, od dłuższego czasu nic w Europie nie wiedziano. James Gordon Bennet polecił zatem Stanleyowi ażeby się udał do Afryki i odszukał Livingstone'a Komuż mogło być przyjemniejszem polecenie tego rodzaju! Poczyniwszy bezzwłocznie odpowiednie przygotowania, udał się Stanley do Afryki i śmiałym, forsownym marszem dotarłszy do jeziora Tanganika, zastał Livingstone'a w tylekroć wspomnianej miejscowości arabskiej Ujcji chorego i wypoczywającego po swojej podróży w głąb Afryki z nad brzegów nowo odkrytej Lualaby. Wspólnie z Livingstonem zwiedził Stanley północne wybrzeża Tanganiki i przekonał się, że jezioro to nie ma upływu na północy. Jak wiadomo powrócili obaj podróżnicy z wspólnej wycieczki do Ujcji, poczem powrócił Stanley do Europy, Livingstone zaś w kierunku południowo-zachodnim w głąb Afryki, zkąd nie miał już powrócić. Na południowych wybrzeżach Bangweolo zaskoczyła bohaterskiego starca śmierć — a wierni jego towarzysze na poły dzicy Swabili — wspólnicy jego trudów i niebezpieczeństw, nie opuścili i po śmierci swojego dobrego pana i przewodnika. Zebrawszy skrzętnie notatki zmarłego, udali się ze zwłokami Livingstone'a do Zanzybaru i zasłużyli się tem podwójnie ludzkości — bo i dali możność rodakom zmarłego uczczenia zwłok jego i uratowali od zatraty wielce cenne notatki zmarłego z czasów ostatniej podróży.

Łatwo pojąć, z jakiemi uczuciami przyjął świat uczony ogłoszone wkrótce drukiem notatki Livingstone'a. Bo też zdawało się, iż rezultat jego ostatniej podróży, obalił stanowczo wyniki badań poprzednich podróżników afrykańskich; przedewszystkiem zaś została mocno zachwiana wiarogodność zapatrywań Spekego co do kwestji początków i źródeł Nilu. Rozpoczęła się istna powódź uczonych broszur za i przeciw hipotezom obudwu podróżników, i pokazało się w końcu, że niezbędną jest nowa ekspedycja, któraby ostatecznie rozwiązała nasuwające się liczne wątpliwości, a mianowicie:

1. Jeżeli Speke miał słuszność — czyli, jeżeli Nil rzeczywiście wypływał z wielkiego jeziora Wiktorji — to

a) cóż znaczyły wówczas relacje kupców arabskich o kilku jeziorach — a raczej baguiskach,

b) zkąd brało jezioro Spekego swoje wody.

2. Jezioro, do którego Nil Spekego po krótkim biegu wpada, a które Samuel Backer jeziorem Alberta nazwał, było dotąd nieznanem. Wiedziano tylko, że gdzieś na zachodzie od jeziora Wiktorji istnieć miało według relacji kupców arabskich wielkie jezioro Mwuta-Nzige. Nasuwało się zatem pytanie, czy jezioro odkryte przez Backera jest osobnem jeziorem, czy też jest ono jeziorem znanem przez Arabów pod nazwą Mwuta-Nzige, albo też w końcu jego przydłużeniem.

3. Czem jest i co znaczy rzeka Livingstone'a. Livingstone podaje w notatkach swoich szerokość i głębokość Lualeby. Już koło Nyangwe dochodzi rzeka 3000 metrów szerokości przy kilkunastu metrach przeciętnej głębokości.

Jeżeli to był Nil, to zachodziło pytanie gdzie podziewał on swoje wody, skoro już pod Nyangwe w dwójnasób jej więcej posiadał, niż Nil pod Kairo. Czyż nie był raczej naturalny jaki kanał łączący dwa jeziora — jezioro Bangweolo z drugiem nieznanem dotąd na północy od pierwszego.

4. Niemniej ważnem było w końcu pytanie, jak się rzecz ma z odpływem Tanganiki. Dotąd bowiem znano tylko dopływy tego jeziora a jedyny odpływ z zachodnich wybrzeży Lukuga dotąd nie został należycie zbadany ani przez Livingstone'a ani też przez innych podróżników, którzy jezioro to badali. Z notatek Livingstone'a można było nawet przypuszczać, że Lukuga jest tylko głęboką odnogą jeziora.

Te wątpliwości należało usunąć, ażeby ciekawą kwestyę wnętrza afrykańskiego kontynentu rozwiązać.

Była to praca olbrzymia. Podróże bowiem po Afryce przedstawiają trudności prawie nie do przebycia. Pominąwszy już właściwości nieznanego dotąd kraju — jego zabójczy klimat, orograficzne stosunki, przedewszystkiem zaś właściwość rzek Afrykańskich, których liczne wodospady uniemożliwiają po prostu dostanie się tą drogą w głąb kraju, — mają podróżnicy do walczenia nadto jeszcze z dzikimi murzyńskimi plemionami, zamieszkującymi okolice wielkich jezior i z niechęcią zawistną kupców arabskich, którzy uważając dotychczas Afrykę jako dogodny i nader intratny przedmiot exploatacji, niechętnie widzieli postępy cywilizacji europejskiej w tych okolicach. Wiedzieli bowiem dobrze, iż w takim razie dowiedziałaby się Europa o handlu arabskim w Afryce, szczegółów hańbiących całą ludzkość — że wspomniemy tu tylko o handlu niewolnikami. Wiedzieli arabowie dalej, że Europa poznawszy bliżej bogactwa środkowej Afryki — zapragnie również wejść z nią w stosunki handlowe, czego bezpośrednim następstwem byłyby dotkliwe straty dla handlu arabskiego, który już tylekroć uległ przewadze europejskiej w walce konkurencyjnej.

Mimo te trudności znalazł się przecież mąż, który podjąwszy się zadania, wykonał je z nadspodziewanym skutkiem i rozwiązał wszystkie wątpliwości, o których wyżej napomknęliśmy.

Otrzymawszy środki od właścicieli dzienników „Daily News“ i nowojorskiego „Heralda“ poczynił Henryk Moreton Stanley odpowiednie przygotowania i wyruszył dnia 15-go sierpnia 1874. do Zanzybaru, małej wysepki na wybrzeżach Afryki wschodniej, zkąd zwykle ekspedycje afrykańskie wyruszały. Tutaj uzupełnił poczynione w Europie przygotowania i najàwszy odpowiednią ilość towarzyszy z plemienia Wangwana, przepłynął dnia 12 go listopada wązki kanał dzielący wyspę od stałego lądu i stanął na lądzie afrykańskim w miejscowości Bagamojo.

Ztąd wyruszył Stanley na czele znacznej karawany w głąb Afryki. Nie poszedł wszakże utartą już drogą ku jeziorom Tanganika. Na pierwszym bowiem planie leżało zbadanie jeziora Wiktorji. Dlatego skierował swój żmudny pochód nieco ku północy i po wielu trudach i niebezpieczeństwach, po wielu utarczkach, częstokroć bardzo krwawych z plemionami murzyńskiemi, po bolesnej utracie jednego z trzech europejczyków, których miał przy sobie, dotarł w końcu szczęśliwie do jeziora Wiktorji. Z tej części podróży przeważne mają dla geografji znaczenie spostrzeżenia Stanleya co do pionowego ukształtowania Afryki. Potwierdził mianowicie Stanley spostrzeżenia poprzednich badaczy, że ląd wznosi się od wybrzeży statecznie, chociaż nie z jednostajną siłą ku środkowi. Ekspedycja maszerowała przez przepyszne okolice, urozmaicone bogatą florą i fauną stef równikowych. Przebywano doliny, w których się liczne sioła rozsiadły. Wznosząc się coraz bardziej — przechodziły one w płaskowzgórze z odmienną roślinnością i światem zwierzęcym, co w wysokim stopniu urozmaicało podróż i malowniczy koloryt nadawało całej panoramie. Gdzie niegdzie siniały w oddali po prawej lub lewej stronie wierzchołki gór o znacznej wysokości, wznoszącej się z wyżyn, które, jak wiadomo, tworzą tło centralnej Afryki.

Tak więc Speke miał słuszność. Na północny wschód od Bagamojo i wyspy Zanzybaru znajdowało się między 3° południowej a 1_0 północnej szerokości geogr., i między 32°, a 35_0 wschodniej długości geogr., ogromne jezioro Wiktorji. Najpierwszem zadaniem Stanleya było na teraz zbadanie szczegółowe wybrzeży, poznanie dopływów i skonstatowanie odpływu północnego, który Speke Nilem nazwał. To też odpocząwszy i nabrawszy sił do nowych trudów, wybrał Stanley dziesięciu najdzielniejszych ze swoich towarzyszy i w łodzi Alice, umyślnie w tym celu jeszcze w Anglji sporządzonej i z ogromnym trudem aż dotąd przyniesionej — puścił się z Kagehyi, miejscowości na południu jeziora leżącej — w której go reszta ekspedycji miała oczekiwać w podróż naokoło jeziora. Płynąc wzdłuż brzegów w kierunku wschodnim przybył do ujścia rzeki, którą krajowcy Szimiju nazywają. Był to pierwszy ważny sukces ekspedycji Stanleya. Dotąd bowiem wiedziano tylko o jednej rzece wpadającej do Wiktorji, o Spekego Kitanguli. Rzeka Szimiju mająca swe źródło w górach kraju Ugoga pod 6° północnej szerokości — płynie przeważnie ku północy i wpada do zatoki Spekego.

Zatoka ta zamkniętą jest od strony północnej wyspą Ukerewe — zbliżającej się od wschodu i zachodu tak bardzo do stałego lądu, że tylko bardzo wąski kanał dzieli je od siebie — w skutek czego zatoka wygląda — jakoby osobne zupełnie jezioro. Tem się prawdopodobnie tłumaczą bałamutne relacje kupców arabskich o kilku jeziorach na miejscu jeziora Spekego.

(D. c. n.)